

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

...erata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. ...rzesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. ...kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

...eny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

...łówny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 15 kwietnia 1911. Nr. 15.

Zamach morderczy w bazylice św. Piotra.



Od Redakcyi.

Z okazyi Świąt Wielkiej Nocy, przesyłamy wszystkim Czytelnikom, korespondentom i przyjaciołom naszego pisma, serdeczne życzenia

Wesołego Alleluja!

Redakcya.

Zamach morderczy w bazylice św. Piotra.

(Do illustracyi tytułowej.)

Znanym powszechnie rodzajem obłąkania jest obłęd religijny. Głośny obecnie wypadek strzału w bazylice św. Piotra, wskazywałby także na istnienie jego przeciwieństwa, choroby zasługującej na nazwę obłędu antireligijnego.

Kanonik ks. Orsi, odprawiwszy uroczystą mszę św. w kaplicy Giulia, odchodził właśnie w asystencyi ks. Rocchi, sekretarza kardynała Rampolli i ministrantów od ołtarza, gdy usłyszano nagle strzał rewolwerowy. Zapanował ogólny popłoch. Tylko pełniący w kościele służbę policyant Marinari, jakkolwiek jego właśnie lekko raniła kula, przeleciawszy tuż obok głowy ks. Orsi, poskoczył ku sprawcy i z pomocą publiczności rozbroił go i ujął.

Odprowadzony do więzienia i przesłuchiwany zbrodniarz okazał się nieb zpiecznym szaleńcem. Zeznał mianowicie, że księża unieszczęśliwili go, nie dopuszczając do małżeństwa z ukochaną kobietą, a następnie skłaniając jego wuja i ciotkę do zapisania majątku na cele religijne. Desanti — bo tak nazywał się sprawca zamachu — zamordował wuja i ciotkę i został za to przez sądy austryackie skazany na 20 lat więzienia, które odsiedział w Capo d'Istria. Wyszedłszy na wolność, wyemigrował do Ameryki i przebył tam lat kilka, ale myśl o zemście nad księżmi nie opuszczała go i przybrała wreszcie potworny kształt planu zabicia papieża.

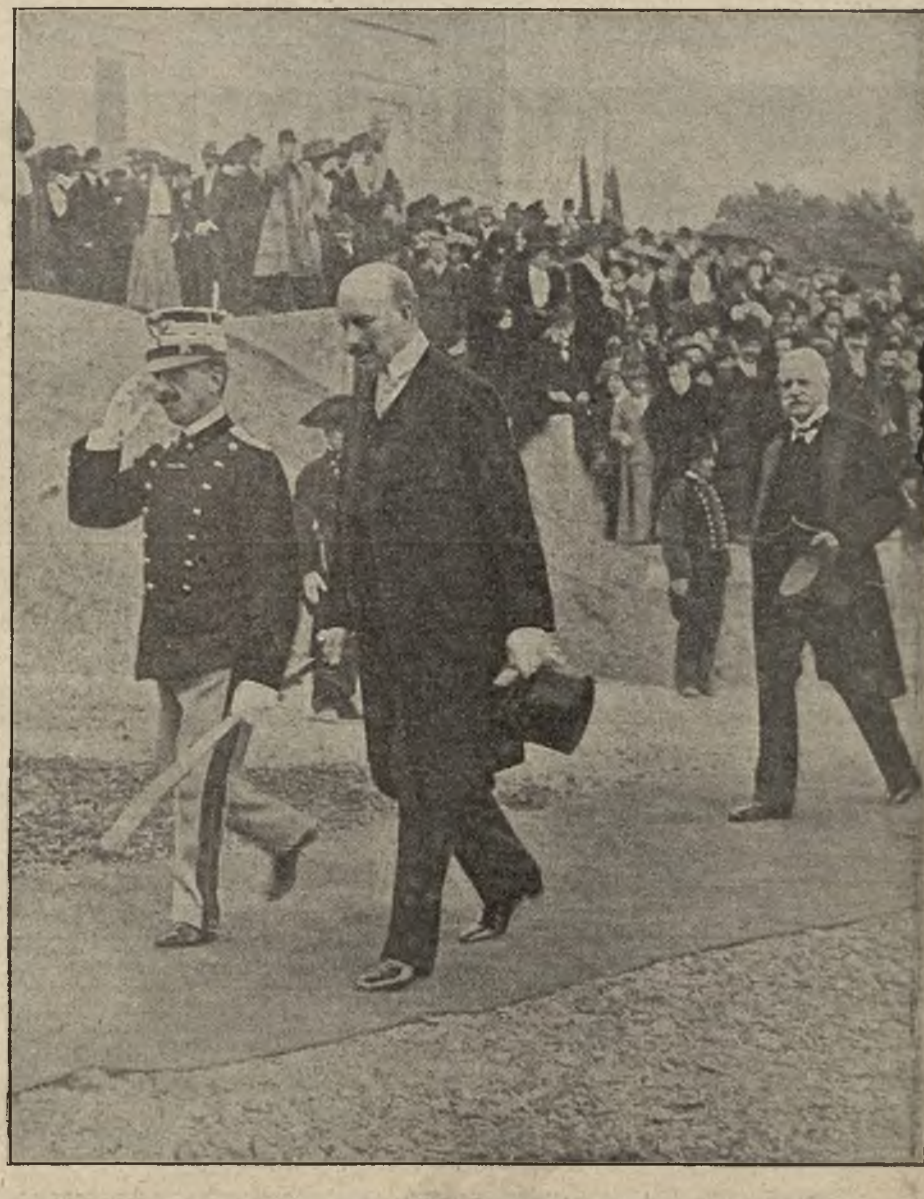
W tym celu przybył Desanti do Rzymu i zaczął starać się o miejsce ogrodnika w Watykanie. Gdy te się nie powiodło, postanowił zamordować wogóle jakiegoś księdza i w tym celu udał się z rewolwerem do bazyliki. Czynu żałował o tyle tylko, że nie dość celnie mierzył...

Błędny wzrok nieszczęśliwego, jego bezładne zeznania i ich treść, wskazująca na silnie rozwiniętą monomanię, dowodnie wykazały, że Desanti jest obłąkanym, a lekarze odkryli symptomata dziedzicznego obciążenia. Ojciec św. zarządził poświęcenie na nowo kościoła św. Piotra i nabożeństwo przebłagalne, a kanonikowi Orsi przesłał gratulacye z powodu uniknięcia śmierci z ręki szalonego.

Pięćdziesięciolecie niepodległości Włoch.

Rozpaczliwy widok przedstawiały Włochy w pierwszej połowie XIX. wieku. Lombardya dźwigała jarzmo obce i jęczała pod twardą ręką Metternicha i jego następców, Neapol i Sycylia ulegały tyranii znikczemniałych władców burbońskich, a nadzieje, pokładane przez ludność państwa Kościelnego w liberalnie usposobionym Piusie IX., rozwiały się wkrótce po jego wstąpieniu na stolicę Piotrową. Tylko dynastya piemoncko-sabaudzka, rządząca nadto w Sardynii, cieszyła się zaufaniem i miłością poddanych, a całe Włochy spoglądały na nią jako na jedyną nadzieję.

I rzeczywiście z tej strony zaświtała jutrzenka swobody. Bezowocnymi pozostały wysiłki Karola Alberta. Następca jednak, Wiktor Emanuel, był szczęśliwszy. Genialny minister jego, Cavour, zd łał zapewnić idei wypędzenia obcych z Italii pom Napoleona III. Wspólnemi siłami pobito wojska a stryackie pod Magentą i Solferino, gdy zaś narzucony Wiktorowi Emanuelowi przez potężnego sprzy-



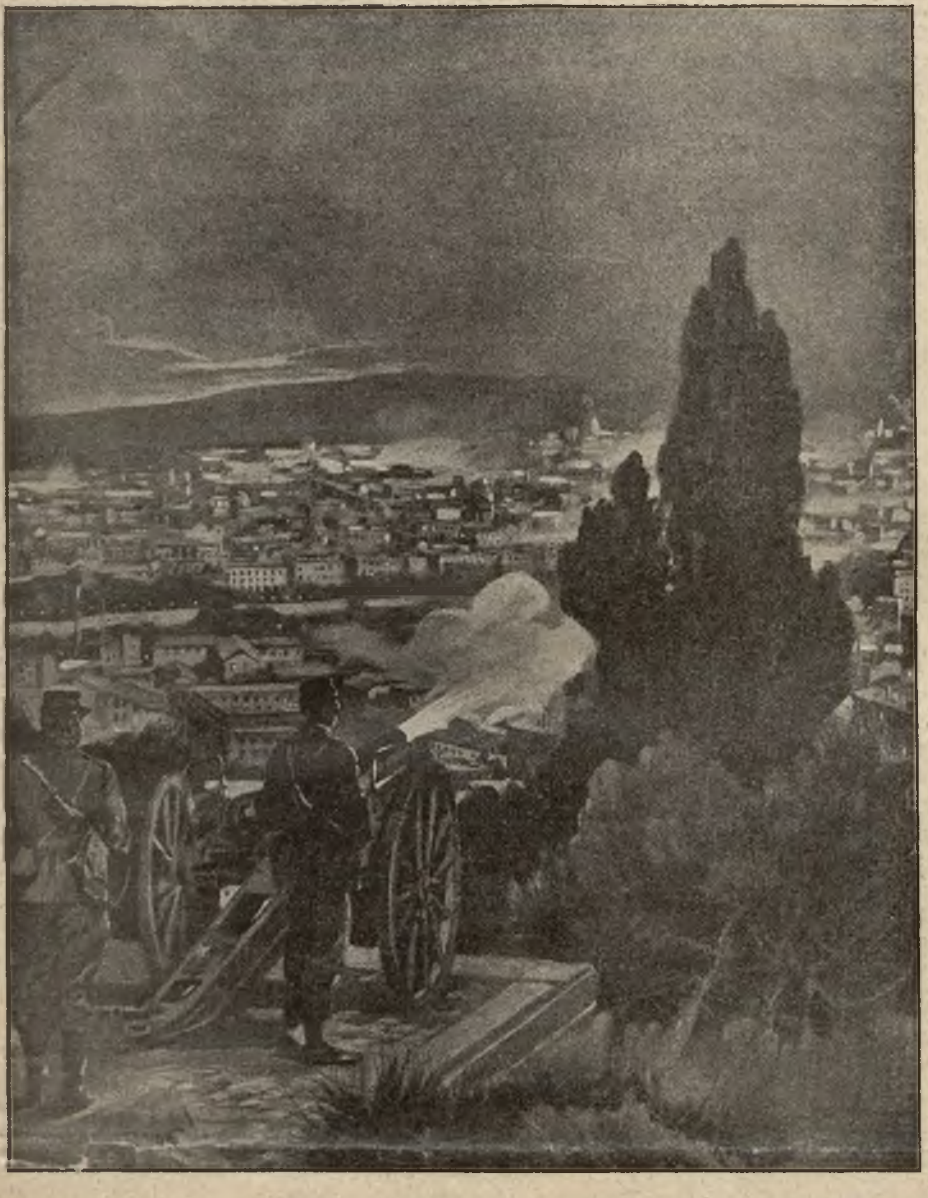
Pięćdziesięciolecie niepodległości Włoch: Król Wiktor Emanuel III. z ambasadorem niemieckim von Jagowem.



Zamach morderczy w bazylice św. Piotra: Widok ogólny bazyliki św. Piotra w Rzymie.

mierzeńca pokój nie spełnił wszystkich nadziei narodu, ruch ludowy, na czele którego stanął Garibaldi, oswobodził resztę krain włoskich i dnia 14 marca 1861 r. Wiktor Emanuel koronował się na króla zjednoczonej Italii.

wystrzał z działa w nocy z 26 na 27 marca, a następnego dnia odbył się świetny obchód na Kapitolu, gdzie wnuk oswobodziciela Włoch wygłosił mowę do zgromadzonych dostojników i przedstawicieli państw europejskich. Potem nastąpiło otwarcie wystawy, która ma przydać blasku radosnej rocznicy.



Pięćdziesięciolecie niepodległości Włoch: Wystrzał z działa dany w nocy z 26. na 27. marca jako hasło rozpoczęcia uroczystości.



Pięćdziesięciolecie niepodległości Włoch: Król Wiktor Emanuel III. w drodze na górę św. Anioła, celem otwarcia wystawy wojskowej.

Lat pięćdziesiąt upłynęło od tych wypadków, a synowie i wnukowie zwycięsców w walce o wolność święcą dziś ich rocznicę. Uroczystości rozpoczęły się już w Rzymie i w Turynie — w tej ostatniej jako w stolicy dawnej Sabaudyi. Hasło dał

Zjazd pedagogów.

W ciągu ostatniego tygodnia bawiło w Krakowie kilkudziesięciu nauczycieli i profesorów gimnazyalnych z całego kraju, celem uczestniczenia w kursie uzupełniającym, urządzonym dla nich na Wszechnicy Jagiellońskiej. Kurs ten był przeznaczony przedewszystkiem dla filologów, to też tych najwięcej w Krakowie się stawiło.

Celem wykładów było zaznajomienie słuchaczów z wynikami badań ostatnich czasów na polu filologii klasycznej i nowoczesnej oraz językoznawstwa, ponadto zaznajomiono uczestników kursu z najważniejszemi zasadami hygieny, zwłaszcza hygieny szkolnej, ze względu na to, że ci nauczyciele, którzy studya ukończyli dawniej, z przedmiotem tym się w owym czasie nie zaznajamiali.

Do wykładów zaproszono najwybitniejszych pro-



Zjazd pedagogów: Uczestnicy kursu nauczycieli i profesorów gimnazyalnych w Krakowie, z profesorem dr. Morawskim (X) w pośrodku.

fesorów uniwersytetu krakowskiego i lwowskiego, jak dr. Morawski, Miodoński, Sinko, Sternbach, Hadaczek i t. d.

Kurs wspomniany, który trwał cały tydzień, uwieńczony został zupełnie zadowalniającymi wynikami. Po za stroną naukową, miał on inne, niemniej doniosłe znaczenie. Oto przyczynił się do wzmocnienia węzłów solidarności i koleżeństwa między ludźmi



Tragiczny zgon oficera: Podpułkownik armii niemieckiej Schlichting, zamordowany w Turcyi.

jednego zawodu, zacieśnił stosunki towarzyskie między nimi, wytworzył atmosferę szczerej serdeczności. Swiadczyły o tem najlepiej liczne, wspólnie podjęte wycieczki po Krakowie i okolicy oraz wspólny bankiet.

Grono uczestników kursu z prof. dr. Morawskim w pośrodku przedstawia nasza dzisiejsza rycina.

Tragiczny zgon oficera.

W nocy z dnia 27 na 28 marca b. r. zginął z ręki fanatycznego żołnierza albańskiego w Konstantynopolu podpułkownik armii niemieckiej Schlichting, wysłany wraz z innymi znamienitymi oficerami niemieckimi do Turcyi jako reorganizator armii młodotureckiej. Wypadek ten wywarł wstrząsające wrażenie na umysłach we wszystkich krajach cywilizowanych i żywo przypomina podobną tragedyę, wśród której przed trzema laty zginął we Lwowie namiestnik Potocki, gdyż motyw zbrodni miał również podkład w szowiniźmie mordercy, a ofiara mordu również w tak strasznej chwili okazała zadziwiający hart ducha. — Rząd turecki dał rządowi niemieckiemu i rodzinie zamordowanego wszelkie zadosyćuczynienie, jakie było w jego mocy: sułtan wyraził kondolencyę cesarzowi niemieckiemu, rodzinę zamordowanego zaopatrzył hojnie, wyprawił w Konstantynopolu wspaniały pogrzeb, przy udziale książąt krwi i najwyższych dygnitarzy państwa, wreszcie wymierzył mordercy karę według całej surowości kodeksu wojskowego: mimo prośby wdowy po zamordowanym o ułaskawienie, zbrodniarz został na mocy wyroku sądu wojennego rozstrzelany.

Zmarły podpułkownik Schlichting pochodził z starożytnej rodziny niemieckiej Schlichtingów, osiadłej głównie w Brandenburgii, Saksonii i t. d., gdzie zajmuje oddawna po dziś dzień wybitne stanowiska, przeważnie w służbie wojskowej.

Nazwisko to łączy się również z dziejami polskiemi, gdyż w wieku XVI ród Schlichtingów przybył także na terytoryum Rzeczypospolitej polskiej, gdzie nabywszy indygenat i wchodząc w koligacye z rodzinami polskiemi, jak Gruszczyńskimi, Lubienieckimi, Morstinami, Arciszewskimi, Golczami, Latalskimi, Unrugami, Bronikowskimi, Dzięboswkimi, Kręskimi, Żychlińskimi, Błędowskimi i innemi, zajął równie wybitne stanowisko. W epoce ruchu reformacyjnego Schlichtingowie stali na czele propagandy aryańskiej w Polsce wraz z innymi rodami. W Poznańskiem założyli miasto i ordynacyę Schlichtingowo (po niem. Schlichtingsheim). Linia polska Schlichtingów, która od głównej siedziby swojej w Wielkopolsce przyjęła przydomek „z Bukowca“, istnieje dotąd we wszystkich trzech zaborach. W Krakowie żyje również jej przedstawiciel, mianowicie dr Alfred Schlichting, st. radca magistratu.

Sejm młodzieży.

Od wielu lat istniejący związek polskich towarzystw akademickich „Ogniwo“, rozwija się stale i ani na chwilę nie ustaje w pracy nad celami, objętymi statutami związku. Działalność „Ogniwa“, skierowana ku temu, by młodzież uczącą się odwieść od zbyt szerokiego udziału w polityce, a natomiast wprzęgnąć ją do szeregów pracowników oświatowych wśród ludu polskiego, wydaje coraz piękniejsze wyniki. Wykazało to sprawozdanie, przedłożone walnemu zjazdowi delegatów. Zjazd ten odbył się przed kilku dniami we Lwowie, a obradował w gmachu politechniki, pod przewodnictwem prezesa dr. L. Węgrzynowskiego.

W pierwszym dniu zjazdu załatwiono na zebraniu plenarnem sprawy formalne, poczem obradowały komisye, następnego zaś dnia przedstawiły towarzystwa związkowe sprawozdanie ze swej działalności, nad czem wywiązała się żywa dyskusya.

W niedzielę zebrali się uczestnicy Zjazdu i zaproszeni goście w auli uniwersyteckiej, celem złożenia hołdu z okazyi 250 tej rocznicy założenia wszechnicy lwowskiej przez króla Jana Kazimierza. Zjawił się też senat akademicki *in corpore*. Dr. Węgrzynowski, przewodniczący „Ogniwa“, wręczył senatowi adres młodzieży, a następnie przemówił w serdecznych słowach, kreśląc uczucia młodzieży wobec wszechnicy i jej przedstawicieli. Na przemówienie to odpowiedział rektor ks. dr. Jaszowski, poczem młodzież z pieśnią na ustach podążyła pod pomnik Mickiewicza, gdzie przemówił p. T. Gluziński.

Obrady delegatów związku zakończyły się w poniedziałek, załatwieniem rozmaitych wniosków oraz wyborem nowego zarządu.



Nowy prezes Dumy: Październikowiec Michał Władymirowicz Rodzianko.



Sejm młodzieży: Uczestnicy Zjazdu „Ogniwa“ we Lwowie przed gmachem politechniki. (Fot. Y. Münz, Lwów).

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

(Ciąg dalszy).

20

— Co to takiego? — zawołała — Co się tobie stało? Czy to cień na twojej twarzy, czy też...

Schwyciłam ją za rękę. Teraz już mogłam mówić.

— Adelo — rzekłam — nie ty jedna tylko silnie umiesz kochać. Ja tak ciebie kocham, całem sercem. Niech o tem świadczy ta rana.

A gdy szeroko otworzyła oczy i zachwiała się, słabnąc, objęłam ją i przytuliłam się do jej ramienia.

— Mówisz, że jutro będę miała prawo listy odbierać! On wcale nie będzie chciał pisywać — jutro! Ta piękność, która się jemu podobała, minęła. Jeżeli zanadto ją cenił, to teraz ty i ja zrównaliśmy się — ty raczej dziś mnie przewyższasz! Będziesz tem szczęśliwsza, gdy pogodzicie się po tej rosterce!

Drgnęła, podniosła moją twarz rękami swemi, spojrzała na mnie i wstrząsnął nią dreszcz.

— Karmelo! — szepnęła — to ta historya... ta historya, którą ci czytałam o Franciszku I i o...

— Tak — odpowiedziałam — to mi nasunęło tę myśl.

Zachwiały się pod nią kolana; uklękła przede mną ale nie odrywała oczu od mojej twarzy.

— A... a Elwood?

— On nie wie o niczem. Ja dopiero dziś wieczór zdecydowałam się na to. Adelo, ja musiałam... ja nie miałam siły... porzucić was wszystkich albo... albo powiedzieć „nie“, gdyby on mnie osobiście poprosił o to, o co prosił mnie listownie.

A potem starałam się ją podnieść; ale ona całowała moje nogi, moją suknię, ręce moje, płacząc, jak gdyby duszę swoją wypłakać chciała. Ach, jaka ja byłam szczęśliwa! Przyszłość wydawała mi się taka prosta... Ale uczułam pieczenie w policzku i podniosłam rękę do twarzy.

Wtedy ona się zerwała.

— Ty cierpisz! — zawołała. — Musisz zaraz wracać do domu, zaraz, a ja tymczasem zatelefonuję do doktora Carpentera.

— Wróćmy razem — odpowiedziałam — możemy zatelefonować z domu.

Wtedy ten straszny wyraz znowu wrócił na jej twarz, a widząc, że ona zapomina o mojej ranie, i ja o niej zapomniałam — z przerażeniem tylko myśląc, co ona teraz powie...

Gorsze to było, niż wszystko, co przypuszczać mogłam; Adela stanowczo wzbraniała się wracać do domu.

— Karmelo — mówiła — ja wyrządziłam niesprawiedliwość twojej młodości. I ty go kochasz — nie jak dziecko, ale jak kobieta... Bądź szczęśliwą — moja śmierć da tobie szczęście.

Potrząsnęłam głową, ukazując zraniony policzek. I ona potrząsła głową i zwolna, spokojnie powiedziała:

— Nigdy nie byłaś tak piękną, jak w tej chwili. Gdybyśmy razem wróciły i zaczęły dawne życie, zaczęłaby się na nowo ta walka, która sumienie moje i moje całe istnienie podkopała. Ja tej męki nie zniosłabym dłużej, Karmelo. Dniem i nocą trawiłaby mnie ona. My troje na tym świecie nie możemy żyć obok siebie. Ja jestem najmniej kochana, i dlatego ja umrzeć powinnam. Jestem zdecydowana, Karmelo. Do tego doszłam!

Starałam się ją przekonać. Błagałam ją na wszystko, na tę ranę nawet, którą sobie zadałam. Ale ona już nie była sobą. Podjęła karteczkę i przeczytała ją, podczas gdy ja ją błagałam i głuchą stała się na moje słowa.

— Patrz, te słowa zabiły mnie — krzyknęła, mnąc w ręku tę kartkę. Czem jest odrobina trucizny? Trucizna tylko tego dopełni, co on zaczął.

Trucizna! Przypomniałam sobie, że słyszałam, jak przewracała w buteleczkach w szafce z lekarstwami; poczułam, że głowa mi się zawraca i że nogi uginają się podemną.

— Nie rób tego! — zawołałam — Rozstrojona jesteś dzisiaj, do jutra się uspokoisz, inaczej czuć będziesz!

Jednakże stężały jej wzrok i blada twarz, jak skamieniała, nie wróżyły mi nic dobrego.

— Nic się we mnie nie zmieni — odpowiedziała. — Jeżeli nie uczynię tego dzisiaj, uczynię to wkrótce. Znam siebie.

Dreszcz mnie przejmował. Nie wiedziałam, co czynić, dokąd się zwrócić. Zagradzała mi sobą drogę ode drzwi, a wyglądała strasznie.

— Udając się tutaj — przemówiła — zabrałam ze sobą butelkę likieru i trzy kieliszki. Zabrałam też ze sobą buteleczkę trucizny, zapisaną niegdyś jako lekarstwo. Sądziłam, że zastanę tutaj Elwooda. Gdybym go była zastała, miałam zamiar wpuścić truciznę do jednego kieliszka, a potem napełnić likierem wszystkie trzy. Bylibyśmy wypili, każde z nas swój kieliszek, a potem jedno z nas byłoby padło... Nie dbałam o to, które — ty, Elwood czy ja. Ale nie ma go tu — więc niechaj padnie los — czy ty, czy ja... chyba, że wolisz pewność, Karmelo — a w takim razie ja naleję jeden tylko kieliszek i wypiję go sama!

Podniecona była do ostateczności i zrozpaczona. Śmierć była tuż, tuż.. czułam to — zapowiadała mi ją jej twarz wykrzywiona. Choćbym nawet krzyczała, ktoby mnie usłyszał? Nie pomyślałam o telefonie i wątpię, czy w owej chwili pozwoliłaby mi uciec się do niego. Władza, jaką zawsze nademną miała, silnie działała na mnie w tej chwili.

— Czy mam wypić sama? — powtórzyła.

— Nie! — krzyknęłam; a wtedy ręką sięgnęła do piersi i dobyła z pod stanika małą buteleczkę.

— O Adelo! — zaczęłam; ona jednakże nie zważała na mnie.

Miała na sobie długi płaszcz z kieszeniami. Z jednej z tych kieszeni dobyła butelkę w słomę opleciona i postawiła ją na stoliczku. Potem wydostała dwa kieliszeczki, postawiła je także i odwróciła się plecami. Słyszałam, jak kropla po kropli napełniała szkło; ciemności zasnuły mi wzrok...

Nagle ona twarzą zwróciła się do mnie. Nigdy nie zapomnę jej wyrazu.

Podeszła do mnie, w każdej z rąk trzymając jeden kieliszek. Zbliżyła się, krocząc powoli, a doszedłszy do mnie, uśmiechnęła się i spojrzała mi w oczy. I rzekła:

— Wybierz dobrze, dziecko drogie. Zostaw dla mnie zatruty!

Jak zahypnotyzowana popatrzyłam, najpierw na jeden kieliszek, a potem na drugi. Gdyby która z jej rąk zadrżała, byłabym chwyciła za ten kieliszek, który ta ręka trzymała; jednakże najlżejsze drżenie nie wstrząsnęło tych zesztywniałych palców, ani też oczy jej nie drgnęły ni w prawo, ni w lewo.

— Adelo! — krzyknęłam — rzuć to o ziemię! Daj nam żyć — żyć!

Ale ono powtórzyła tylko to swoje okropne:

— Wybieraj!

Nie śmiałam wahać się dłużej. Nie patrząc, wyciągnęłam rękę i dotknąwszy jednego kieliszka, odebrałam go z palców jej i podniosłam go do ust. W tej chwili i ona swój podniosła w górę.

— Ja sama nie wiem, który to jest — rzekła i wypiła. Wobec tego i ja mój wychyliłam.

Kieliszki szczęknęły głośno, gdyśmy je odstawiały na stolik. Czekałyśmy teraz, patrząc jedna na drugą.

— Która z nas? Która? — zdawały się mówić jej usta.

Niebawem dowiedziałyśmy się.

— Dobrze wybrałaś — rzekła i padła na krzesło.

— Nie odchodź ode mnie! — zawołała, gdyż chciałam biedz i wzywać głośno pomocy. — Ja... ja się teraz czuję szczęśliwą, teraz, gdy wszystko już się rozstrzygnęło. Ale ja nie chcę umierać sama. O, jakże mi gorąco!

I zerwawszy się, zrzuciła ze siebie płaszcz i dysząc, chwytała powietrze i biegała po pokoju. Upadła znowu, ale tym razem na otomankę; ja zaś znowu chciałam biedz i wołać o pomoc, lecz ona mnie puścić nie chciała. Nagle drgnęła, uniosła się i spostrzegłam, że wielka zmiana w niej zaszła. Twardy, stężały wyraz zeszedł z twarzy, oczy patrzyły tkliwie, niepokój i serdeczność malowały się w spojrzeniu.

— Szalona byłam! — zawołała — Karmelo, Karmelo, jaką ja krzywdę tobie wyrządziłam, siostrzyczko moja, dziecko moje, dziecko!

Starałam się ją pocieszyć — starałam się opanować własną straszną trwogę i uspokoić ją. Ale bliskość śmierci uciszyła biedne jej serce, budząc tylko wielką miłość dla mnie i dawną troskliwość. Niepokoiła się przyszłością moją, sieroctwem mojem. Wspominała matkę naszą i przysięgę, którą jej na łożu śmierci złożyła, że opiekować się mną będzie i czuwać nade mną i nad bratem naszym, jak matka.

— I nie dotrzymałam przysięgi! — wołała — Artura zraziłam do siebie, a ciebie porzucam na pastwę cierpieniu i niebezpieczeństwom!

Nie mogłam jej pocieszyć. Widziałam, że odbiega ją życie, a nic nie mogłam uczynić. Tuliła się do mnie, zbierając wszystkie władze, myśląc za mnie i wskazując, co mam uczynić. Kazała mi spalić tę kartkę, wyrzucić przez okno dwa kieliszki, a jeden i tę buteleczkę od trucizny zostawić tuż pod jej ręką. A wszystko to, zanim wyjdę z pokoju. A potem kazała mi telefonem zawezwać policyę i powiedzieć, że coś złego stało się w klubie, ale nie podając swego imienia i nie przyznając się, że tam jestem.

— Skandalu się nie uniknie — mówiła — bylebyś ty tylko nie była w to zamieszaną. Przysięgnij, że zastosujesz się do moich słów — przysięgnij, że wszystko zrobisz tak, jak ci mówię!

Przysięgłam. Obiecałam wszystko zrobić tak, jak chciała. Ja sama ledwie żyłam... ach, gdyby dom był się zapadł i zagrzebał nas obie, lepiejby się było stało!... Tymczasem świeca paliła się dalej, życie w jej oczach zagasło, a ręce jej, w których tuliła moje, opadły...

Usłyszałam lekkie westchnienie i cichą prośbę:

— Powiedz Arturowi, niechaj nigdy więcej... nigdy...

A potem... zamilkła...

Westchnienia... łzy... ręce, wznoszące się do twarzy... i znów milczenie zaległo salę. To milczenie przerwał głośny, rozdzierający jęk obwinionego. Nikt jednakże nie spojrzał na niego i dzięki Bogu, nikt też nie spojrzał na mnie. Oczy wszystkich utkwiły w twarzy tego młodego dziewczęcia, którego opowiadanie taką cechę prawdy miało w sobie, chociaż tak sprzecznem było ze wszystkiem, co wiedziano dotąd. Jakież odkrycia nastąpią jeszcze? Zdawałoby się, że ona mówiła o śmierci siostry swojej?...

A przecież ta siostra nie umarła tym sposobem; jej siostra została zaduszoną. Czyż ta wytworna istota, tak piękna pomimo szramy na twarzy padła ofiarą hallucynacyi co do pochodzenia tej szramy i tych strasznych okoliczności, wśród których ona powstała? Albo, co jeszcze trudniej przypuścić, czyżby te bolesne wyznania, ten akcent cierpienia i wstydu przy odsłanianiu tajemnic serca siostry i swego własnego — czyżby to wszystko miało być tylko komedyą, sprytnie zagraną dla omamienia sądu i ukrycia prawdy?

Nawet ja, pamiętając jej wygląd, gdy zataczając się schodziła ze schodów owej pamiętnej nocy, blada, półprzytomna bólem czy przerażeniem, z ręką przyciśniętą do twarzy — nawet ja pytałem się w duchu, czy ta rozdzierająca opowieść nie kryje jeszcze straszniejszej tajemnicy? Badawczo patrzyłem w jej twarz i z męką w sercu starałem się przeniknąć, co leży poza jej anielską powierzchownością?

Jednakże w spokojnej tej, tak zastygłej twarzy nie mogłem nic dojrzeć prócz głębokiego smutku; czując niepewność otaczających, byłem jak na torturach, dopóki na zapytanie obrońcy nie odpowiedziała najspokojniej:

— Tak jest, ona w ten sposób umarła, z rękoma w moich rękach. Nie było przy tem nikogo więcej, byłyśmy zupełnie same.

To rozstrzygnęło — a wrażenie było tak silne, że przez chwilę zdawało się, iż wrzawa wybuchnie na sali. Na twarzy Karmeli odbiło się zdziwienie, Artur drgnął i podniósł głowę, prokurator spojrzał z nową otuchą. Mr. Moffet jednakże, pełen spokoju i widocznego zaufania w sprawę, skierował znowu uwagę ogółu na swojego świadka, z szacunkiem i łagodnością zadając Karmeli pytanie:

— Czy może pani określić godzinę, o której się to stało? Czy może pani, jakkolwiek w przybliżeniu, oznaczyć czas?

— Nie, gdyż ja się nie odrazu poruszyłam. Czułam się, jak przykuta do miejsca. Młoda jestem i nigdy przedtem niczyjej śmierci nie widziałam. Gdy wstałam, chwiałam się na nogach, jak stara kobieta i prawie od zmysłów odchodziłam; opamiętałam się jednakże, ujrzawszy tę kartkę na podłodze, tę kartkę, którą siostra kazała mi spalić. Podniosłam ją, skierowałam się do kominka, ale przeląkłam się, przystanęłam w połowie drogi i obejrzałam się za siebie. Zdawało mi się, że siostra się odezwała, że posłyszałam jej głos...

Ale to przywidzenie minęło, gdy zobaczyłam, jak ona spokojnie leży; więc też po chwili poszłam dalej i rzuciłam kartkę w mały płomyczek, który tlił się jeszcze po wypalonym ogniu. Widziałam, jak kartkę zapalił przeciąg, wiejący od drzwi za mną i jak paląca uleciała w górę.

Nie mogłam sobie rady dać, taka byłam udręczona. Nie śmiałam obejrzeć się i patrzeć na siostrę moją, leżącą tam za mną z twarzą śmiertelnie martwą, nieżyjącą, a ja przecież za tę jej śmierć czułam się poniekąd odpowiedzialną. Bałam się strasznie i długo tam klęczałam, modląc się i drżąc; nareszcie wstałam, decydując się zrobić to wszystko, co siostra mi zrobić kazała, skoro mnie Bóg zostawił przy życiu... Odwaga, jaką przedtem w sobie czułam, zupełnie mnie opuściła... a choć wiedziałam,

że mam coś do zrobienia, zanim wyjdę z pokoju, nie mogłam sobie przypomnieć, co to być może. I stałam, wahając się, lękając się podnieść oczy, a jednak czując, że powinnam spojrzeć na twarz siostry, choćby dlatego, by sobie przypomnieć...

Nagle spojrzałam, ale nic mi to nie pomogło. I wtedy, zrozumiawszy, że nie będę mogła zebrać myśli, dopóki twarz umarłej będę widziała przed sobą, podniosłam poduszkę z fotelu przy oknie i nakryłam nią jej twarz. Musiałam coś więcej zrobić. Musiałam nakryć całą otomanę poduszkami... choć sama o tem nie wiedziałam, bo mnie przytomność odeszła... A potem zupełnie nagle poczułam jasność w głowie i przypomniałam sobie, że siostra dała mi jakieś zlecenie, tyczące trucizny. Czy miałam buteleczkę jej w rękę włożyć, czy też miałam ją wyrzucić przez okno? Coś miałam wyrzucić przez okno — zapewne buteleczkę... Nie mogłam jednak otworzyć okna, to też zaniosłam buteleczkę do garderoby obok, gdzie okno otwierało się do środka i wyrzuciłam ją z tego okna. Już myślałam, że zrobiłam wszystko. Gdy jednakże, wróciwszy do pokoju, zobaczyłam płaszcz Adeli, leżący na ziemi, podniosłam go i schowałam do garderoby — sama nie umiem powiedzieć, dlaczego. A potem to już koniecznie chciałam wracać do domu.

Ale jeszcze coś było do zrobienia, lecz nie w tym pokoju. Długo nie mogłam sobie przypomnieć, dopiero widok pustej podłogi przywiódł mi to na pamięć. Drzwi, któremi weszła Adela, nie były zamknięte, a idąc ku nim, przypomniałam sobie telefon i że mam uwiadomić policyę.

Wziąwszy zatem świecę, powlokłam się do frontowej sieni. Adela mi to nakazała, inaczej nigdy nie byłabym w stanie... Musiałam drzwi otworzyć, a gdy się za mną zatrzasnęły, myślałam, że już się nigdy dla mnie nie otworzą. Prawie myślałam, że zemdlałam wtedy — jeżeli można zemdleć stojący?... bo gdy jakoś oprzytomniałam, byłam w innym końcu pokoju, a świeca, którą wciąż trzymałam w ręku, jakoś krótsza mi się wydała, niż była, gdy wychodziłam z pokoju, gdzie leżała siostra

Traciłam próżno czas. Gdy pomyślałam o tem, podeszłam prędko do telefonu. Chwyciłam słuchawkę, a gdy mi się centrala odezwała, powiedziałam coś o Szumiących Sosnach i że tam trzeba ratunku. Tyle tylko pamiętam.

Trochę później, sama nie wiem, kiedy, schodziłam po schodach ku wyjściu. Poszłam do... znowu do tego pokoju po moją torebkę, gdyż były w niej klucze, a nie śmiałam ich zostawiać. Ale nie zatrzymywałam się już ani chwili i raz tylko spojrzałam na otomanę.

Co się potem działo, to mi się już tylko jak sen przedstawia.

Odnalazłam konia, koń trafił sam na drogę i niedługo potem dojechałam do domu. Dojeżdżając do domu, poczułam się nagle silniejszą. Widząc otwarte drzwi od stajni, przypomniałam sobie, co należy zrobić. Wjechałam, prędko odprzęgłam Jenny i wprowadziłam ją do stajni. Potem zaciągnęłam sanki do wozowni i powiesiłam uprząż na swojem miejscu. Wkońcu zamknęłam stajnię, zabrałam klucz do domu i powiesiłam go tam, gdzie zwykle bywał, w kuchni na gwoździu. Myślałam wtenczas: „zrobiłam wszystko tak, jak Adela kazała, a teraz pójdę do swego pokoju. Takby ona chciała". Ale już nie wiem, czy zrobiłam tak, czy nie. Myślałam wciąż tylko o Adeli, aż wszystko zaczęło mi się mącić... potem ogarnęły mnie ciemności... i już co było dalej, tego nie wiem...

— — — — — — — — — — — — — —

Skończyła. Zrobiła to, o co ją proszono, opowiedziała dzieje tego wieczoru tak, jak je znała, począwszy od wspólnego obiadu przy rodzinnym stole, aż do powrotu swego po północy. A tajemnica śmierci Adeli nie przestała być tajemnicą. Czy ona to rozumiała?

Ja zaś szczęśliwy byłem — nadmiernie, nierozsądnie szczęśliwy — zrozumiawszy, że skrzywdziłem ją przypuszczeniem mojem i że ona niewinną jest, niewinną! Jak hymn radosny, brzmiało w mej duszy to słowo.

Mr. Moffet, stawiwszy Karmeli jeszcze kilka pytań, ukończył przesłuchanie świadka.

Kolej teraz przyszła na prokuratora.

Mr. Fox podniósł się odrazu; teraz chwila odpowiednia — śpieszył do ataku. Stawił odrazu najżywotniejsze pytanie:

— Przez cały ten czas rozmowy z siostrą czy pani zauważyła jakie plamy na jej szyi?

Karmela rozchyliła usta; cała jej twarz wyrażała zdziwienie.

— Plamy? — powtórzyła. — Nie wiem, co pan przez to rozumie.

— Jakieś piętna, ciemniejsze od reszty skóry na szyi lub karku?

— Nie. Adela miała skórę gładką i czystą. Leżąc, wyglądała jak z marmuru. Nie, nie widziałam żadnych plam.

— Miss Cumberland, czy zna pani z czytania lub ze słyszenia cały przebieg procesu?

Drżała teraz. Czy prawdy się bała, czy tego niewiadomego, co kryło się w tem pytaniu?

— Ja nie wiem — odpowiedziała. — To, co



Oto moja odpowiedź — rzekł znacząco, pokazując na jedną z córek.

słyszałam, słyszałam od mojej pielęgniarki i od pana Moffeta. Nie wiele czytałam, a to, co czytałam, odnosiło się do samego początku procesu i zaprzysiężenia sędziów przysięgłych. Po raz pierwszy w tej chwili słyszę o jakichś piętnach i nie rozumiem, o czem pan mówi.

Prokurator Fox rzucił w stronę Moffeta wymowne spojrzenie; obrońca zniósł to, nie okazując wrażenia; poczem, zwracając się do świadka, przemówił do niej łagodniej i względniej, niż zwykł był to czynić i spytał:

— Czy przez cały ten czas, gdy pani sądziła, że siostra umiera, trzymałaś pani jej ręce?

— Tak, tak.

— A ona ich nie podniosła ani razu?

— Nie, ani razu.

— A wtedy, gdy je pani puściła? Gdzie te ręce spadły?

— Na piersi. Puściłam je zwolna i ułożyłam je na krzyż na jej piersiach. Nie odeszłam od niej, dopóki tego nie zrobiłam i dopóki nie zamknęłam jej oczu.

— A potem co pani zrobiła?

— Poszłam podnieść kartkę i spalić ją.

— Miss Cumberland, pani mówiła, że przystanęłaś wtedy, przechodząc przez pokój, bo zdawało się pani, że siostra przemówiła i że pani się na nią obejrzała.

— Tak, panie.

— Czy siostra miała wtedy ręce złożone na krzyż?

— Tak jest, zupełnie tak samo, jak pierwej.

— A później, gdy pani zawróciła od kominka, zaczekawszy dla nabrania odwagi?

— Tak, tak, taksamo. Nie było żadnego śladu poruszenia. Ach, ona nie żyła, napewno nie żyła!

— Niech pani niczego nie twierdzi, miss Cumberlano. A zatem wyglądała tak samo, jak wpierw i nie zauważyła pani żadnej zmiany w ułożeniu rąk?

— Żadnej. Ręce jej leżały tak, jak je sama ułożyłam.

— Miss Cumberland, opowiadała nam pani, że siostra zaraz po zażyciu trucizny zachwiała się, idąc przez pokój i padła, najpierw na krzesło, a potem na otomanę. Czy pani jej się wtedy uważnie przyglądała?

— O tak, ani na chwilę nie spuściłam z niej oczu.

— I na ręce jej pani patrzyła, zarówno jak na twarz?

— Nic nie wiem, co się rąk tyczy. Byłabym zauważyła, gdyby coś niezwykłego była niemi robiła.

— Czy może pani powiedzieć, że rękoma nie chwytała się za gardło?

— Tak, mogę powiedzieć, że nie. Pamiętałabym, gdyby tak było. Tak dobrze pamiętam każdy jej ruch. Ona tego nie robiła.

Mr. Fox powiódł spojrzeniem w stronę przysięgłych. Wszyscy słuchali bacznie, wyczekując następnego pytania, skupieni, poważni, jak przystało tym, którzy o życiu ludzkiem wyrokować mają.

Zadowolony postawił swoje pytanie:

— Gdy, zatelefonowawszy, powróciła pani do pokoju, gdzie siostra pani leżała, czy spojrzała pani wtedy na otomanę?

— Tak, gdyż nie mogłam nie spojrzeć.

— Czy wszysko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy pani wychodzia? Poduszki mianowicie?

— Tak, zdaje mi się, że tak. Nie umiem zresztą powiedzieć; ja tylko pobieżnie spojrzałam — bałam się...

— Czy gotowa pani twierdzić, że tych poduszek nikt nie poruszył?

— Nie. Niczego twierdzić nie mogę. Ale dlaczego...

— Tylko o odpowiedź proszę, miss Cumberland. Czy może nam pani powiedzieć, jak ułożone były poduszki?

— Niestety, nie. Rzucałam je szybko, bezprzytomnie, tak jak mi się nawijały. Wiem tylko, że najpierw położyłam poduszkę z pod okna. Reszta padła, jak się zdarzyło. Ale one ją zupełnie zakrywały — zupełnie.

— I twarz i ręce?

— Całe jej ciało.

— A czy nakrywały ją tak samo, gdy pani wróciła?

— Chyba, że tak... chociaż... Zaraz, zaraz...! Ja wiem, że nie mam prawa tego mówić, ale jabym nie mogła przysiądz, czy nie było jakiej zmiany.

— Czy może pani przysiądz, że wszystkie poduszki i ta z pod okna ułożone były zupełnie w ten sam sposób, jak kiedy pani wyszła z pokoju?

Nie odpowiadała. Lęk nią owładnął. Oczy jej, utkwione w twarzy prokuratora, drgnęły i gdyby poszła za popędem chwili, byłaby spojrzała na brata, jednakże obawą czy też miłością siostrzaną wiedziona, zwróciła wzrok znowu na twarz pana Fox. Szczerze, choć czując całą wagę swojej odpowiedzi, odpowiedziała:

— Nie, nie mogę...

— W tej samej chwili zachwiała się i doktor Carpenter podtrzymał mdlejącą.

Siły ją na razie zawiodły. Odłożono spiesznie posiedzenie sądu, by dać jej możność wypoczęcia i przyjścia do siebie.

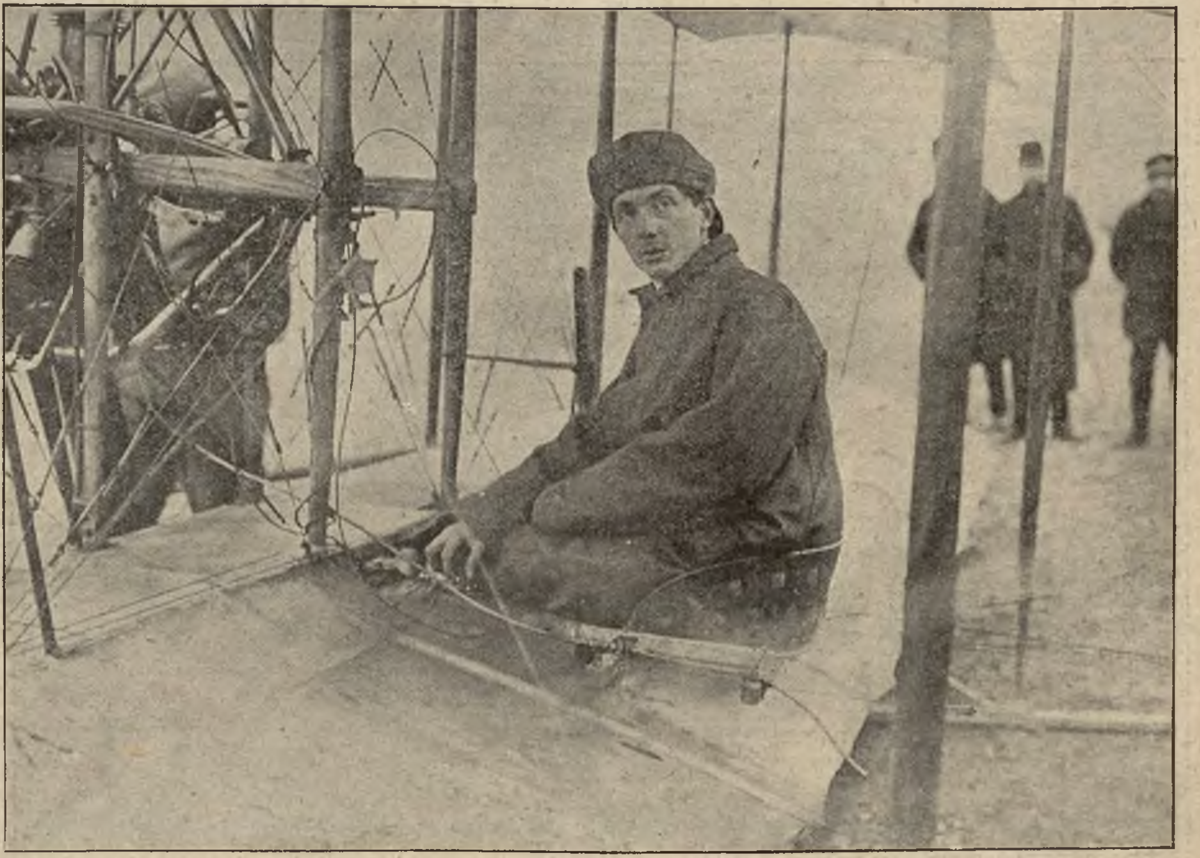
(Dalszy ciąg nastąpi).

Smierć awiatora.

„Niema nic trudnego dla ludzi", powiedział Horacy w jednej ze swych ód, w której z okazyi podróży morskiej przyjaciela, zastanawiał się nad uczuciami pierwszego żeglarza. Dziś tosamo możnaby powtórzyć, śledząc wysiłki ludzkie, zdążające do podboju powietrza.

Atmosfera broni się przed zuchwałymi najeźdźcami. Na dziesiątki można już liczyć ofiary awiatyki, mimo których śmiałe przedsięwzięcia jej adeptów nie ustają i stają się nawet coraz częstszemi. Największy rozgłos miała śmierć Chavez'a, dzięki trudności dokonanego przezeń lotu ponad Alpami. Po Chavez'ie zginęło już kilku żeglarzy powietrznych, w ostatnich zaś dniach zeszłego miesiąca znów jeden z nich znalazł śmierć podczas wzlotu.

Był to młody, bo 22 letni dopiero Włoch Cei, znany już poprzednio z kilku bardzo śmiałych podróży aeroplanem. Nieszczęście zaszło podczas lotu z Issy les Moulineaux do fabrycznej miejscowości Puteaux, położonej na zachód od Paryża. W chwili, gdy Cei osiągnął już dość znaczną wysokość, motor przestał funkcyonować i aeroplan zaczął opadać z błyskawiczną szybkością. Zdawało się, że pochłoną go fale Sekwany, nad którą Cei właśnie przelatywał. Runął jednak na brzeg t. z. wyspy Rotschilda, roztrzaskał się o skałę i zagrzebał pilota pod swymi gruzami. Nieszczęśliwego przeniesiono do szpitala w Beaujon, gdzie mimo wysiłków lekarzy zmarł po paru godzinach.



Śmierć awiatora: Awiator włoski Cei.

Chłopi na wystawie podhalańskiej.

Wystawa sztuki podhalańskiej, otwarta niedawno we Lwowie, cieszy się nadzwyczajnem powodzeniem. Publiczność tłumnie podąża do sal lokalności tow. przyjaciół sztuk pięknych, gdzie wystawa się mieści, aby przypatrzeć się pięknym zaprawdę i nadzwyczaj interesującym zbiorom.

W niedługim okresie trwania wspomnianej wystawy, odwiedziło ją kilka wycieczek młodzieży szkolnej, bawiła tam ponadto wycieczka włościan z jednej z wsi polskich we wschodniej Galicyi.

Włościanie bardzo szczerze zainteresowali się okazami, jakie na wystawie się znajdują, oglądali szczegółowo wszystkie przedmioty, w kilku salach nagromadzone, i nie ukrywali prawdziwego zadowolenia z miłego spędzenia czasu.

Wycieczki włościańskie na podobne wystawy są bardzo pożądane, gdyż wywierają jak najlepszy wpływ na poziom wykształcenia ludności wiejskiej, uczą ją dobrego smaku i umiłowania rzeczy swojskich a prawdziwie pięknych.

Grupę uczestników wycieczki w sali wystawowej przedstawia nasza rycina.

Nowa organizacya urzędnicza.

Przed kilku dniami odbyło się w Krakowie konstytuujące walne zgromadzenie Związku oficyantów i pomocników kancelaryjnych sądowych, utworzonego niedawno pod nazwą „Ster", a rozciągającego swą działalność na okręg apelacyi krakowskiej.



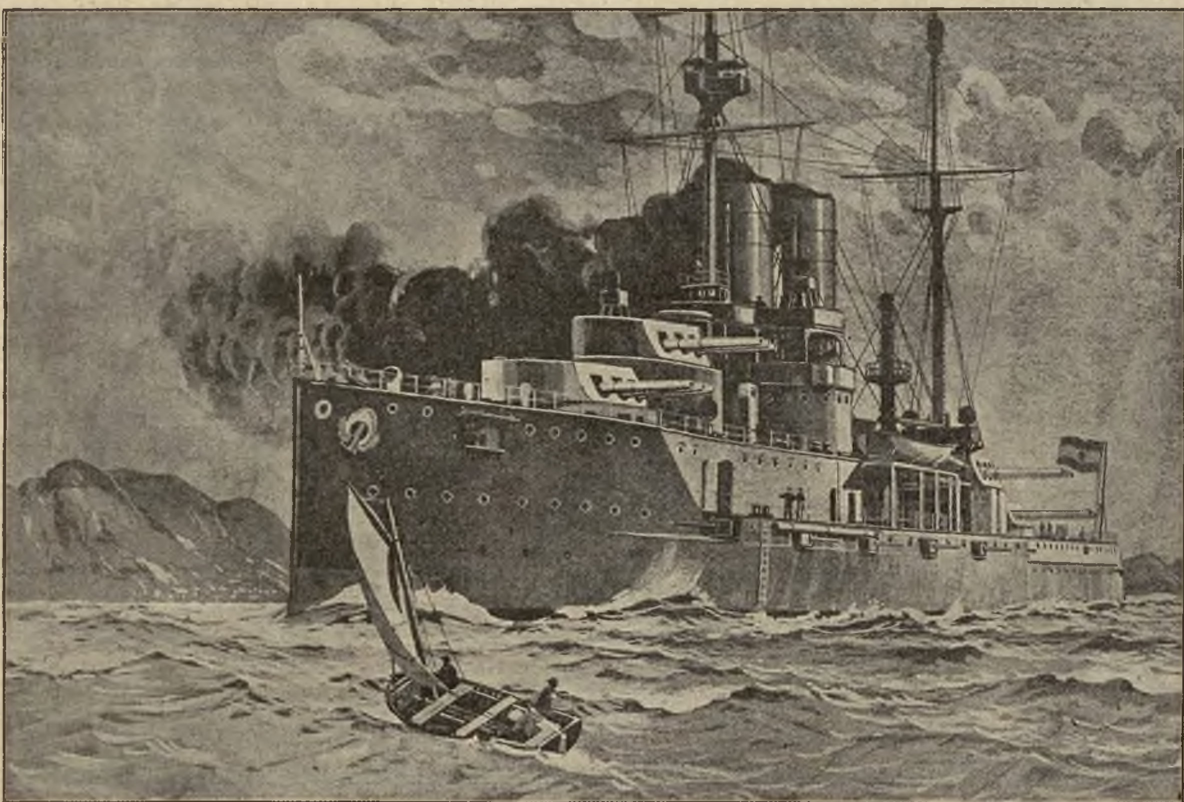
Chłopi na wystawie podhalańskiej: Uczestnicy wycieczki włościańskiej ze wschodniej Galicyi, między nimi sekretarz tow. sztuk pięknych St. Sokołowsk[illegible] i dziennikarz A. Schröder (XX). (Fot. M. Mü[illegible]

Związek „Ster“ utrzymuje ścisłą łączność z pokrewnem stowarzyszeniem w okręgu apelacyi lwowskiej.

We wspomnianem zgromadzeniu, któremu przewodniczył oficyant Pałasz, wzięli udział sądowcy z Krakowa i z prowincyi, nadto jako delegat ze Lwowa p. Władysław Hostyński.

W program działalności Związku, który pracuje pod dewizą: „Pracuj i oszczędzaj“, wchodzi przestrzeganie i bronienie praw i zawodowych interesów, wzmacnianie poczucia łączności towarzyskiej, solidarności koleżeńskiej jakoteż karności w sprawach zawodu, krzewienie cnót i pięknych przymiotów przyjacielskiej zgody i wspomagania się wzajemnego, wreszcie niesienie pomocy materyalnej członkom i wiele innych, jako to: założenie funduszu pogrzebowego, zapomogowego i t. p.

Na zebraniu tem dokonano również wyboru wydziału Związku, na którego czele stanął Jan Soja jako prezes, Oskar Doening i Jan Pałasz jako wiceprezesi, Jan Fleischman jako sekretarz i Jan Brzeziński jako skarbnik.



Pierwszy dreadnought austryacki: Statek wojenny najnowszego typu, który w najbliższym czasie zostanie spuszczony na morze.

Ze względu na doniosły cel organizacyi, przystąpiło do niej dotychczas już około 300 członków, co rokuje związkowi nadzieje pięknego rozwoju.

Pierwszy dreadnought austryacki.

Wiele się w ostatnich czasach mówiło o austryackiej marynarce i o olbrzymich sumach, przeznaczonych przez rząd na budowę nowych statków wojennych. A mówiło się przeważnie z rozgoryczeniem, ludność bowiem wszystkich krajów, zwłaszcza zaś ludność Galicyi, odczuwa bardzo dotkliwie na swej skórze skutki wielkomocarstwowej polityki rządu. Z jednej mianowicie strony musi rząd nałożyć nowe podatki, aby znaleść w ten sposób pokrycie ogromnych wydatków, z drugiej nadto musi iść w odwłokę załatwienie wielu pilnych spraw społeczno-ekonomicznych, t. zw. „konieczności ludowych“.

Wiadomo zaś powszechnie, że na tą niebezpieczną pod względem finansowym a w każdym razie niesłychanie kosztowną drogę pcha Austryę rząd niemiecki, chcąc wykorzystać swojego sojusznika i wiernego sprzymierzeńca.

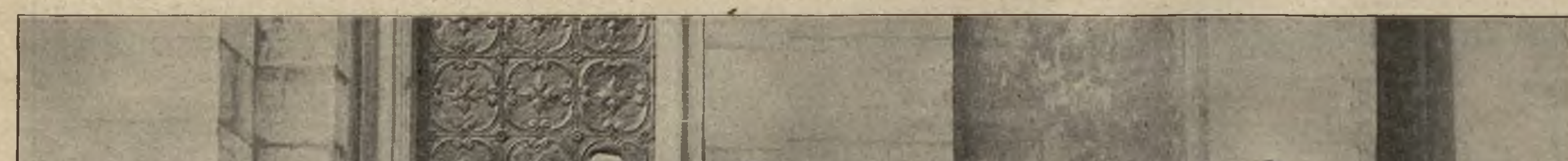
Pierwszy dreadnought austryacki nowego typu jest już gotowy i w najbliższym czasie zostanie spuszczony na morze. Statek ten przedstawia się istotnie imponująco a zdaniem znawców jest jednostką bojową wielkiej siły.

Okręt ten mierzy 160 m. długości, 25 m. szerokości, a pojemność wynosi 20.500 tonn. Chyżość dochodzi 21 mil morskich na godzinę. Uzbrojenie statku obejmuje prócz 12 wielkokalibrowych dział, także 12 dział 15 cm. oraz 22 dział 7 cm., prócz zwyczajnego uzbrojenia torpedowego i minowego. Załoga składa się z 14 oficerów, 12 chorążych, 12 urzędników oraz 900 podoficerów i marynarzy.

Nowa placówka oświatowa.

Przed paru dniami odbyła się w Sierszy uroczystość poświęcenia lokalu Koła i czytelni T. S. L. Czytelnia ta mieści się w budynku, w którym dawniej była karczma, a który hr. Andrzejowa Potocka na prośbę robotników z Sierszy, popartą przez p. Henocha, sekretarza, i p. Mikuckiego, pełnomocnika dóbr Krzeszowickich, zezwoliła wydzierżawić za cenę 50 halerzy rocznie.

Poświęcenie czytelni odbyło się bardzo uroczyście. Dokonał go po południu ksiądz Fołta, który w podniosłych słowach życzył rozwoju nowej placówce oświaty. Następnie odbył się wiec oświatowy, który zagaił prezes Koła T. S. L., p. Franciszek Olaś; po wyborze prezydyum wygłosił dr Smoleń, adwokat z Chrzanowa, referat, w którym przedstawił doniosłość oświaty ludowej i postawił dwa wnioski, jeden, domagający się założenia szkoły dla analfabetów przy czytelni T. S. L. w Sierszy, drugi, wzywający Koło miejscowe, aby postarało się w sąsiednich gminach założyć czytelnię i kursy dla analfabetów. Wnioski te po ożywionej dyskusyi jednogłośnie uchwalono. Następnie odbyło się przedstawienie ama-



Nowa organizacya urzędnicza: Uczestnicy walnego zgromadzenia Związku „Ster“. 1. del. Hostyński ze Lwowa; 2. Pałasz; 3. Soja, 4. Brzeziński.

torskie. Drużyna Bartoszowa z Krza odegrała „Wóz Drzymały“ Rączkowskiego.

Po przedstawieniu przemówił dr. Wróbel, wicedyrektor kolei państw. w Stanisławowie, przedstawiając opłakany stan naszego wieśniaka i robotnika analfabety. Mowca życzył, by w ślad Sierszy poszły wszystkie gminy w Galicyi i zamieniły karczmy na szkoły, bo wtedy zginąłby analfabetyzm. Przemówienie dra Wróbla nagrodzono hucznymi oklaskami, poczem odśpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła“.



Z bałkańskiego kotła: Przed namiotem generała Vukoticsa.

W wiecu brała udział miejscowa inteligencya, wieśniacy i robotnicy, tak z Sierszy, jak i z gmin sąsiednich. Razem było na wiecu około 600 osób.

W tydzień potem na walnem zgromadzeniu założono w Sierszy z inicyatywy prezesa, p. Franciszka Olasa ludową kasę oszczędności i pożyczek, która swą pracę ekonomiczną rozpocznie zaraz po zatwierdzeniu uchwalonego statutu.

Szczęść Boże ruchliwej placówce oświatowej i jej dzielnym pracownikom!

Srebrne gody wirtemberskiej pary królewskiej.

W dniu 8 kwietnia b. r. obchodziła Wirtembergia nader uroczyście srebrne gody małżeńskie pary królewskiej. Wprawdzie, na wyraźne żądanie monarchy, nie święcono ich oficyalnie z takim przepychem, jak to czyni się gdzieindziej, nie wygłaszano patetycznych przemówień, w których czcze słowa mają zastąpić treść, mimo to cały naród wziął udział w uroczystości, aby zamanifestować w ten sposób przywiązanie dla królewskiej pary. W całym kraju, tak w miastach, jak i w najmniejszych zapadłych wioszczynach zjednoczył się naród w tym dniu pamiątkowym w oddaniu hołdu swemu władcy, bodaj przez wzięcie udziału w nabożeństwach dziękczynnych i sprzedaży kwiatów, z której cały dochód oddany zostanie do dyspozycyi królewskiej pary na cele dobroczynne. Była to jedyna manifestacya poddanych, na jaką się królestwo zgodzili.

Także i hr. Zeppelin, ów mianowany przez cesarza Wilhelma „największy Niemiec dwudziestego stulecia“, wziął udział w oddaniu hołdu sędziwemu monarsze, odbywając bowiem wzlot swym balonem, przy pomocy specyalnego spadochronu zrzucił z powietrza bukiet, przeznaczony dla królewskiej pary.

Król Wilhelm II., bratanek swego poprzednika, króla Karola, a wnuk Wilhelma I., urodził się 25 lutego 1848, jako syn księcia Fryderyka i księżniczki Katarzyny Wirtemberskiej. Po wczesnej śmierci pierwszej swej małżonki, Maryi ks. Waldeck Pyrmont zawarł książę, a dzisiejszy król Wilhelm, w dniu 8 kwietnia 1866 powtórny związek małżeński z Karoliną ks. Schaumburg-Lippe. Z powodu słabego zdrowia bezdzietnego swego poprzednika, króla Karola, spełniał książę Wilhelm obowiązki jego zastępcy i następcy tronu, na którym też zasiadł jako Wilhelm II. po śmierci swego stryja w dniu 6 października 1891.

Królewska para cieszy się w całym kraju nadzwyczajną sympatyą dla swych zalet serca i umysłu. Obydwoje popularni, jak rzadko który z panujących, umieją pogodzić obowiązki władców ze stanowiskiem prawdziwych przyjaciół i dobroczyńców swego ludu, który też z całem zaufaniem zawsze się do nich odnosi. Nawet partya socyalistyczna, tak obecnie w Niemczech potężna, nie czuje się w Wirtembergii pokrzywdzoną i nie ucieka się do tak radykalnych środków, jak to się dzieje n. p. w Berlinie. Przemysł, handel i rolnictwo mają w królu Wilhelmie potężnego opiekuna, szczególniejszą zaś uwagę poświęca on hodoli koni, a stadnina jego w Weil uznaną jest za pierwszorzędną w Niemczech.

Także teatr, literatura i sztuka ma wiele obojga królestwu do zawdzięczenia, stuttgarcka scena nadworna w ostatnich czasach doszła do najwyższego punktu rozwoju.

Wobec tego nic dziwnego, że dzień srebrnego wesela królewskiej pary był prawdziwym świętem



Srebrne gody wirtemberskiej pary królewskiej: Wilhelm II. król wirtemberski.



Nowa placówka oświatowa: Założyciele i członkowie Czytelni ludowej w Sierszy.

narodowem dla całej Wirtembergii. Nie tak może hucznie, ale za to serdecznie obchodzono go w całym kraju, który wie, co zawdzięcza swemu władcy.

Z bałkańskiego kotła.

Nie napróżno znawcy polityki europejskiej nazywają Turcyę chorym człowiekiem. Państwo Osmanów powstało dzięki zdolnościom organizacyjnym zdobywców i ich bitności, jednocząc najróżnorodniejsze żywioły. Nic więc dziwnego, że z upadkiem militarnej potęgi Turcyi rozluźniają się spojenia jej olbrzymiego gmachu. Niektóre z podbitych ludów już zdołały się wyswobodzić, inne raz po raz burzą się przeciwko sułtanowi.

Energiczny rząd młodoturecki odniósł łatwe zwycięstwo nad Abdul Hamidem i jego zwolennikami i zdawało się, że Porta odradza się po dokonaniu reform w duchu konstytucyjnym. Sytuacya jej jest jednak i nadal groźna. Dwa powstania, jedno w Azyi, drugie w Europie, szarpią jej łono, a rozpaczliwe wysiłki ku stłumieniu tych ruchów dotąd nie przyniosły pomyślnych wyników. Groźny bunt Arabów koło Jemenu trwa dalej, a obecnie powstała znów Albania, którą zeszłego roku tylko z trudem zdołano uśmierzyć.



Srebrne gody wirtemberskiej pary królewskiej: Królowa Karolina wirtemberska.



Z bałkańskiego kotła: Piechota czarnogórska.

Albańczycy są ludem niezwykle wojowniczym. Kraj ich od niepamiętnych czasów wystawiony był na ciągłe najazdy. Niegdyś Grecy i Rzymianie, potem Bułgarzy, Normani i Serbowie kusili się mniej lub więcej szczęśliwie o zawładnięcie Albanią. W w. XV. bronił jej sławny narodowy bohater przeciw Turcyi. Później kolonizowali ją i zdobywali Wenecyanie, a wreszcie uległa po mężnej obronie Osmanom. Ale tradycya niepodległości żyje wciąż wśród bitnych górali i co parę lat wybucha wśród nich rokosz — tem groźniejszy, że popierany przez państwa, którym zależy na jego powodzeniu. We Włoszech istnieje jawnie „liga albańska“, która zaopatruje ich w broń i pieniądze i myśli nawet o utworzeniu pomocniczej legii włoskiej.

Wchodzą tu w grę i interesa Czarnogóry, której traktat berliński z r. 1878 przyznał był kilka pogranicznych powiatów albańskich. Wówczas natrafiły wojska czarnogórskie na tak silny opór, że trzeba było aż ukazania się pod Raguzą floty sześciu mocarstw i groźby bombardowania albańskich miast nadmorskich do przeprowadzenia tej zmiany terytoryalnej. To też Czarnogóra podwójnie interesowana jest w zamieszkach albańskich, bo z jednej strony musi bronić zdobyczy z przed lat trzydziestu, z drugiej zaś radaby skorzystać z kłopotów Turcyi i przy tej sposobności znowu rozszerzyć swe posiadłości.

Wieść o szerzeniu się powstania Albańczyków i o klęskach wojsk tureckich, napróżno dotąd usiłujących je stłumić, zelektryzowała sąsiednie państewko. Czarnogóra zmobilizowała armię i rozpoczęła jej ruch koncentracyjny w kierunku granicy. Czy skończy się na demonstracyi, o tem rozstrzygnie dalszy przebieg walk Albańczyków z Turkami. Ostatnie wiadomości donoszą o nowej porażce tych ostatnich. Jej rozmiarów na razie dokładnie określić nie można, gdyż rząd osmański stara się ukryć niepowodzenia swego oręża i osłabić ich wrażenie, sprowadzając w oficyalnych komunikatach liczbę zabitych i rannych po swej stronie do minimum, a powiększając odpowiednio straty przeciwnika.

Podajemy parę zdjęć fotograficznych ze zmobilizowanej i gotowej do czynnego udziału w zamieszkach albańskich armii czarnogórskiej. Na jednem widzimy jej wodza naczelnego, generała Vukoticsa, drugie przedstawia jego namiot z grupą oficerów i żołnierzy, trzecie przedstawia piechotę czarnogórską w marszu.



Koń w podróży morskiej: Ładowanie koni na statek francuski.



Z bałkańskiego kotła: Vukotics, głównodowodzący zmobilizowanej armii czarnogórskiej.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

24

Pierwszy w jedenaście tysięcy miał pójść na Gułów i tu. połączywszy się z Ramorinem i oddziałem lotnym Różyckiego, już w siedmnaście tysięcy uderzyć na Rüdigera i przeć go na Chrzanowskiego. Rybiński zaś podczas winien był Kreutza z Siedlec wypłoszyć.

Jedynym cieniem, który mroczył pogodę raportów, była wiadomość, że generała Jankowskiego naszedł znów reumatyzm i że spowinięty w powozie drogę odbywa.

Łubieński nie bardzo się tem przejął. Przy Jankowskim byli wszak Milberg, Bukowski i Turno. Plan przewidział wszystko, więc byle adjutant sztabu chorego wyręczy. Jednak zabiegliwy pan Tomasz dla własnego uspokojenia zaproponował, aby bateryę artyleryi Bema przyłączyć do dywizyi Turny. Co zdało się szefowi sztabu tem słuszniejszem, że Prądzyński wogóle odradzał niepotrzebnej wędrówki Rybińskiego do Siedlec i że stąd przynajmniej Bem, który z Rybińskim szedł, mógł być lepiej użytym.

Lecz Skrzynecki, który dotąd, pochłonięty znów arkanami swej z Rządem narodowym polityki, ulegał Łubieńskiemu, nie przeczuwając ukrytego za nim ex-kwatermistrza — na pierwsze słowo o baterii Bema, zaperzył się.

— Ani myśli, Bem musi zostać przy Rybińskim.

— Jednakże w dywizyi Turny podjazdowe talenty Bema..

— Na talenty ma zadość miejsca w rozprawie z Kreutzem.

— Obawiam się, generale, że Kreutz poprostu cofnie się...

— Być może.

— Bem zaś nietylko wzmocni dywizyę Turny ale i sztab Jankowskiego. — Jest chory.

— Więcej zdoła z chorobą, niż Umiński ze swojem zdro[illegible].

— [illegible]eguję.

— [illegible]ostanie przy Rybińskim! I tak mu już ś[illegible]łowie. Za generała się ma, a ładu nie umie utrzymać. Turno nie potrzebuje mentorów a przedewszystkiem takich, co go potem z zasług będą obdzierali po Honoratkach.

Łubieński nie dał za wygraną. Skrzynecki opierał się, bronił aż naciśnięty argumentami, zakonkludował:

— Więc idzie generałowi jeszcze o cztery bodaj armaty!

— Bodaj o cztery! Choć...

— Doskonale. Nie mam nic przeciwko temu... nawet całe ośm z Bemem.

— Czy jednak warto dzielić bateryę?...

— Jeżeli nie warto, niech idzie do Siedlec.

Rozmowa ta głuchym buntem ozwała się w Bemie, gdy mu oświadczono, że cztery działa pod Orlikowskim pójdą z pierwszą dywizyą, on zaś z ośmioma tylko ma za Turną maszerować. Niesprawiedliwość, lekceważenie było nadto dokuczliwem i oczywistem. Milberg miał bateryę artyleryi konnej, której dowództwo sprawował kapitan Bagiński w zastępstwie rannego pod Ostrołęką podpułkownika Piotrowskiego. Tę więc bateryę można było i należało podzielić, a nie jemu, pułkownikowi, umniejszać armat. I w pierwszym impecie Bem chciał protestować, chciał do Jankowskiego się meldować, lecz pohamował się, zęby zacisnął i powlókł się do Turny po rozkazy. Turno uradował się Bemowi gorąco. Pułkownikowi zelżało na sercu i choć doskwierała mu kusa prezencya baterii, choć bez Orlikowskiego i czterech jednorogów, jakby bez ręki mu było, przecież miną nadrabiał i znaku po sobie nie dawał.

Tymczasem rozkazy sztabu głównego, które w Wodyniach Jankowskiego dogoniły, mocniej jeszcze, niż Bema, zadrasnęły generałów Milberga i Bukowskiego, gdyż zawiadomiły, że na wypadek cięższej choroby Jankowskiego, dowództwo korpusu ma objąć generał Turno.

Milberg zaczął się boczyć na Turnę, Bukowski zaś, jako Jankowskiego stary, jeszcze z pierwszego pułku konnych strzelców towarzysz i przyjaciel, jął zreumatyzmowanego dowódzcę przeciw Turnie judzić. Ale Bukowski nie wieleby u Jankowskiego wskórał, bo ten zgodnym był człekiem, gdyby nie pan Franciszek, pułkownik piechoty, a brat rodzony generała. Owóż pan Franciszek, który w istocie u boku brata trząsł całym korpusem, zawziął się dać nauczkę „belwederskiemu adjutantowi".

Turno ze swej strony z całym zapałem starał się odpowiedzieć pochlebnemu o nim wyobrażeniu. Jako dowódzca przedniej straży, godziny nie zmarnował, niczego nie zaniedbał. Podjazdy jego od Łukowa po Stężyce szły, we dwa dni ustanowiły komunikacyę z Ramorinem i Różyckim i wytropiły Rüdigera. Wytropiły go już pod Łysobokami i w położeniu rozpaczliwem.

Rüdiger miał za plecami nurty Wieprza, na lewo o milę pięć tysięcy Ramorina, z prawej w Kocku oddział Różyckiego, za Wieprzem Chrzanowskiego a przed sobą Turnę i cały korpus Jankowskiego.

Turno zwolnił marszu, wreszcie zaległ pod Lipinami.

Gdy się to działo, do głównej kwatery w Siennicy zjechał Łuba i z wiadomościami, które krew ścięły w żyłach Skrzyneckiego.

Hrabia Toll z huzarami jeździł sam pod Serock... Za nim cała dywizya poszła z pontonami... Most będą stawili na Narwi! Idą na Warszawę!

W sztabie wodza wszczął się popłoch. Skrzynecki chciał dać rozkaz do cofania się na Pragę. Łubieński ledwie zaklęciami go skłonił do czekania na potwierdzenie wiadomości.

Dywizye, kwaterujące w Siennicy, stanęły pod bronią. Bagaże i kancelarye ładowano. Wyprawiano pojazdy z damami. Łubę wzięto pod straż.

Szef sztabu zaś słał cichaczem sztafetę za sztafetą, ordynansa za ordynansem do Prądzyńskiego, by zaniechał inwidyi, by przybywał, by ratował sprawę, by nie uchylał się od rady wojennej.

Nazajutrz o świcie przybył raport od Ambrożego Skarzyńskiego, który strażował nad Narwią. Łuba mówił prawdę. Forpoczty Wysockiego, czuwające pod Serockiem, donosiły i o rekonesansie Tolla i o grenadyerach rosyjskich, którzy pale zwożą i łyżwy budują na brzegu Narwi. Ambroży Skarzyński zawiadamiał nadto, że cofa się za Radzymin ku Pradze, burząc za sobą mosty.

Skrzynecki zwołał natychmiast radę wojenną.

Łubieński teraz dopiero odważył się szepnąć wodzowi, że posyłał do Prądzyńskiego.

Twarz Skrzyneckiego szkarłatem się zalała.

— Co!? — On, tutaj... na, na przeszpiegi, na plotki...

— Generale, należałoby go właśnie wezwać...

— Ani mowy! Pan Prądzyński nie ma tu nic do stanowienia!

— Jednakże w ten sposób odpowiedzialność spadnie i na niego...

— Pan Prądzyński nie ma prawa do odpowiedzialności. Nie posiada rangi, jest w dymisyi...

Łubieński nie pozwolił się zbyć. I póty tłómaczył, przekładał, wystawiał polityczność głęboką, tkwiącą w powołaniu Prądzyńskiego, aż Skrzynecki dał się przekonać. I co więcej, zdobył się nawet na dość uprzejme powitanie ex kwatermistrza generalnego, z czego zebranym na radę pułkownikom i generałom aż serca przybyło. Nawet ci, co kryli niechęć dla wodza, oddali w głębi ducha cześć takiej zacności. Generałowi Małachowskiemu nos łzami napęczniał. A zdecydowani rozumu Prądzyńskiego stronnicy przyznawali, że ten niepozorny człeczek w szarym surducie, niemrawy, nie potrafiący wyskrzeczeć przystojnego responsu na szlachetne ozwanie się Skrzyneckiego — w paragon z wodzem naczelnym iść nie może. Skrzynecki ma i oblicze marsowe i postawę i ruch wytworny i głos dźwięczny i spojrzenie wspaniałe. Skrzynecki jest jak orzeł, a Prądzyński niby pliszka, śmieciucha, dziobem i ślepiami po ziemi włócząca — niby kancelista, gryzipiórek, niedojadek, ściskajbrzuszek za złotych dwieście rocznie.

Łubieński radę zagaił przedłożeniem stanowisk polskich i rozrachunkiem sił rosyjskich. Lewiński podszef rozpostarł mapy.

Skrzynecki wyczekał, aż zgromadzeni ogarną, kędy Jankowski się znajduje, kędy Sierawski, kędy polskie a kędy rosyjskie zastępy — i dopiero przemówił. Przemówił krótko a dobitnie i podniośle. Retoryczna figura o sercu ojczyzny, na obronę którego śpieszyć należy, wywołała poszmer uznania. Zaczęło się głosowanie od najmłodszego rangą pułkownika. Już trzy pierwsze głosy za odwrotem się oświadczyły. Gdy naraz, Prądzyński, który wodził precz nosem po mapach, ozwał się piskliwie:

— Czy wolno mi w kardynalnej...

— Bądź łaskaw — generale! Prosimy!!...

— Niema dowodu, aby Toll zamierzał uderzyć na Warszawę.

Skrzynecki uśmiechnął się pobłażliwie i do Lewińskiego zwrócił:

— Pułkowniku, racz przedstawić generałowi zeznanie Łuby oraz raport generała Ambrożego...

— Czytałem — uciął flegmatycznie Prądzyński.

— A więc wiadomość o budowaniu mostu na Narwi...

— Uważam za demonstracyę, za wybieg, za fortel!

— Ależ generale!

— Jestem przekonany — ciągnął flegmatycznie Prądzyński swym skrzeczącym głosem. — Toll powziął wiadomość o marszu naszego wojska ku Lublinowi, odgadł nawet bez wątpienia intencyę wyprawy na Wołyń... a nie mogąc zdążyć z odsieczą Rüdigerowi ani Wołynia osłonić, usiłuje wprowadzić nas w błąd, odciągnąć nasze dywizye na Pragę, a więc osłabić atak na Rüdigera, dać mu sposobność wymknięcia się.

Członkowie rady, na ten wywód śmiały a logiczny, jęli spoglądać niepewnie ku mieniącej się kolorami twarzy naczelnego wodza.

— Proszę odczytać raport generała Ambrożego Skarzyńskiego.

Lewiński spełnił rozkaz. Gdy skończył, generał Kazimierz Skarzyński bąknął cicho:

— Raport wyraźny — budują!

— Demonstrują — odparł oschle Prądzyński. — Przytem raport jest powierzchowny, niedokładny. Generał baron Skarzyński, polegając na wiadomości odebranej od kapitana Wysockiego...

Generał Kazimierz Skarzyński ujął się za familiantem.

— Jakże, skoro dowodzący forpocztami...

— Zgoda, lecz powinien był forpoczt nie ściągać, jeno je wzmocnić i trwać na stanowisku a nie cofać się. Kawalerya ma zawsze czas na odwrót.

— Generał Ambroży — odparł urażonym tonem pan Kazimierz Skarzyński — jest nadto zasłużonym i doświadczonym oficerem, aby mu nieopatrzność inkryminować!

— I ja tak sądzę! — uciął energicznie pułkownik Fortunat Skarzyński.

— Wypowiadam zdanie bez myśli uchybienia któremukolwiek z rodów.

— I według zdania tego — podjął wódz, siląc się na spokój — mamy, nie troszcząc się o przeprawianie się Tolla przez Narew, nie troszczyć się i o Warszawę.

— Tego nie powiadam.

— Lecz, skoro generał zwiesz budowanie mostu demonstracyą...

— Więc nie mniej uznaję potrzebę liczenia się z nią.

— A, proszę!

— Tak — odrzekł zimno Prądzyński — i dlatego proponuję, aby, przewidując najgorsze, cofnąć się trzema dywizyami, które się tu znajdują, do Wiązowny i stąd na na Pragę.

— Mamy w Siennicy tylko dwie dywizye!

— W Kałuszynie stoi wszak generał Sierawski, o jego dywizyi też myślałem.

— I trzema dywizyami zamyślasz generał stawić czoło armii rosyjskiej.

— Tylko uczynić zadość przesadzonej ostrożności. A podczas z Rüdigerem się rozprawić, jak było postanowionem...

— Nie kalkulując nawet, czy droga na Pragę jest wolną — czy nas Toll nie uprzedzi, czy nie odetnie...

— Nic podobnego nie przypuszczam.

— Ale ja muszę przypuszczać, generale! — uniósł się Skrzynecki. — Muszę liczyć się z odebranym raportem!

— Wyniknie stąd niechybny błąd.

— Lecz z dwóch różnych błędów mniejszy! Nie wolno mi i nikomu nie wolno stawić na kartę losu stolicy!

— Podług mnie...

— Dziękuję panu generałowi za światłą radę! — Debaty uważam za skończone!

— Chciałbym jeszcze...

— Debaty są skończone, generale — powtórzył z naciskiem Skrzynecki.

Prądzyński zebrał nerwowo swoje notatki, skłonił się i wyszedł.

XII.

Tego samego dnia, gdy po radzie wojennej w Siennicy, wódz naczelny nakazał wymarsz pośpieszny do Osiecka, Turno ze swoją dywizyą podsunął się do Budzisk. Pod wieczór wedety polskie starły się z forpocztami Rüdigera.

Turno pchnął sztafetę do Jankowskiego, który we dworze pod Serokomlą kwaterował. W odpowiedzi zjechał do Budzisk sam naczelnik sztabu korpusu, podpułkownik Butrym w towarzystwie partyzanckiego oficera i dwóch jego pachołków.

Turno zajęty był właśnie z pułkownikiem Bemem formowaniem szyku, w jakim najdogodniej byłoby

zacząć grę z nieprzyjacielem, gdy zjawił się Butrym. Turno aż poskoczył z ukontentowania ku przybyłemu.

— Bywaj mi pułkowniku! A to mi szef! To rozumiem!

— Dla uniknięcia wszelkiego nieporozumienia, generale.

— Z nieba mi spadasz! Siadaj, proszę...

— Generał daruje, że mu przedstawię — pan Sikorski, partyzant augustowski, który mnie tu eskortował...

— A który rad wielce, że nietylko na coś się przydał ale i zdobył okazyę poznania tak znakomitego generała naszego...

Turnę ogarnęło uczucie niechęci do Sikorskiego. Podał mu protekcyonalnie rękę i ku Butrymowi spojrzał, jakby żądając odeń wyjaśnienia. Lecz Sikorski równocześnie rzucił się ku Bemowi:

— Kogo widzę! Zacny pan Józef dobrodziej!... Góra z górą! Prawdziwa niespodzianka! A tam biedna pani Anna w głowę zachodzi! Do mnie ciągle — a gdzie pułkownik, a czy aby nie uraził się z mego natręctwa!

Turno, na ten oczywisty dokument zażyłości Sikorskiego z Bemem, zawstydził się i kilku przyjaznemi słowy naprawił swą oziębłość.

Butrym podczas dobył z czapy plan i rozłożył go z zadowoleniem na stole.

— Oto, generale, nasz rozrachunek... Spójrz proszę... Rüdiger siedzi w pułapce... Różycki strażuje w Kocku i do Firleja dociera.

— Czy wytrzyma napór?

— Otóż właśnie! Wzmocnił go generał Bukowski z trzema batalionami grenadyerów i dziesięciu szwadronami kawaleryi. Teraz, w Podlodowie będziemy mieli Różyckiego. Generał Milberg z brygadą piechoty czuwa w Serokomli. Gdyby więc Rüdiger myślał przez Kock skórę salwować, Milberg przyprze go do Wieprza. A że z tej strony niema brodów...

— Za pozwoleniem — Rüdiger jest niewątpliwie między Łysobokami a Przytocznem.

— Doskonale — według planu generał następuje...

— Są dwie drogi: jedna wprost a druga na Charlejow...

Butrym uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Wszystko obliczone! Dywizya generała zostawia rezerwę na rozstaju i rusza o świcie, jak strzelił. Jeżeli Rüdiger zawróci na Charlejów — to rozerwa alarmuje, generał zachodzi od boku, od Serokomli rusza Milberg a od Kocka Bukowski... Ale tego wypadku nie będzie. Rüdiger pomknie na pierwszy strzał do Kocka. Nie taki to przecież nowicyusz, aby dziury w miechu nie szukał najpierw.

— A jeżeli całą siłę zwróci Rüdiger przeciwko mnie?

— Nie może się zdarzyć — ale i to obliczone. Wszystko obliczone! Bukowski i Ramorino przychodzą od boków i chwytają ptaszka za skrzydła. A do stępienia mu dzioba jest główna kwatera pod ręką.

Turno zwrócił się do Bema.

— Czy pułkownik sądzi?

— Sądzę, generale, że gdyby nas Rüdiger zaatakował mocno, to z naszymi trzema tysiącami moglibyśmy nie doczekać się posiłków.

— Ramorino będzie na świt w Podlodowie!

— Lecz go jeszcze nie ma.

— Więc jest generał Bukowski! — tłómaczył Butrym.

— O dwie mile drogi! Nie uchybiam rozkazom dowódzcy korpusu naszego, ale nie pojmuję tego rozdrobnienia sił.

— Pułkowniku — bronił się z rozżaleniem Butrym. — Idzie wszak o to, by nie umknął! Całą noc ślęczałem z pułkownikiem Jankowskim i generałem Milbergiem!

— Dwanaście tysięcy żołnierza nie może ujść lada ścieżyną. Na dopilnowanie ich starczą podjazdy. Tu, widzę rozrzucone odziałki, z których żaden pojedynczo nie wytrzyma ataku.

— Oddziałki na pierwszy sygnał dążą na zagrożony punkt.

— Mogą nie zdążyć.

Turno poparł z całej mocy zdanie Bema. Szef sztabu przekładał, tłómaczył generałowi, że rozkazy są co do godziny wydane, że Ramorino był rano już w Sobieszynie, że cały plan był właśnie tak układany, aby generał Milberg prowadził bitwę — ale Turno, sekundowany przez Bema, trwał przy swojem.

Aż Butrym zakonkludował z alteracyą:

— Więc tedy sam pojadę do Podlodowa, jeżeli Ramorina nie zastanę, ruszę do Sobieszyna i sam mu rozkazy powtórzę.

Turno, ujęty tą gotowością Butryma, chciał poprzestać na wyprawieniu oficera ordynansu, lecz Butrym się naparł.

— Tak i pojadę, generale. Mila drogi. Wolej samemu. Eskorta? — Nie trzeba, chyba, że pan Sikorski nie ma ochoty...

— Pułkowniku! Kiedym się raz pisał!

— Droga niepewna — wtrącił Bem. — Noc. Możecie panowie wpaść na rekonesans nieprzyjacielski.

Butrym, który z widoczną urazą ładował w czapę swój plan, wzruszył ramionami.



Most będą stawili na Narwi! Idą na Warszawę.

— Wszak droga idzie za łańcuchem naszych forpoczt i ku Ramorinie.

— Może jednak...

— Dziękuję za troskliwość.

W kilka chwil potem, Butrym z Sikorskim ruszyli wózkiem w stronę Podlodowa, mając za sobą dwóch pachołków zbrojnych i ułana, którego Turno dał im na przewodnika. Po odjeździe Butryma, Bem chciał do biwaków wracać, lecz Turno go zatrzymał.

— Nie odmawiaj, pułkowniku, skromnego posiłku. Hej tam, prosić pułkownika Zielonkę!

Nadszedł wkrótce Zielonka, dowódzca strzelców konnych gwardyi. Służba generała wniosła do chaty nesesery i sepeciki generalskie i zastawiła stół.

Bem czuł się nieco onieśmielonym wytwornością gospodarską Turny. Generał atoli wraz z obejściem dawnego adjutanta książęcego, bywalca dworu, łączył szczerą, otwartą naturę żołnierza. Więc z miejsca lody przełamał, ku czemu nie mało przyczynił się pogodny humor Zielonki. A że i buteleczka węgrzyna się znalazła, tedy wszelka oziębłość znikła do reszty.

— Moi panowie — zagadywał ochoczo Turno — wszak, bez mała, gwardyjską czynimy dywizyę! Batalion grenadyerów, artylerya, strzelcy konni wszystko dawne gwardyjskie. Osobliwie strzelcy konni! Jakżeśmy ruszali wczoraj ze Stoczka, jak spojrzałem po szwadronach, to mi dawne wypomniały się czasy, kiedyśmy to z panem Benedyktem Zielonką pułkownikowali mu pod generałem Kurnatowskim.

— I nie takie dawne czasy, generale.

— Ha, kto wie, które lepsze. Co tam! Za pomyślność jutrzejszej rozprawy!

— Za pomyślność!

— I na podziękowanie Bemowi. Rzetelnieś nam pomógł tem natarciem na Butryma. Zacny Litwin, zdolny oficer ale przesadził w kalkulacyi.

— A właściwie — dodał Bem — zbyt wiele zaufał teoryi wspólnego działania kilku naraz oddziałów.

— Słuszna uwaga, zwłaszcza że krom wszystkich niespodzianek, mamy do czynienia z reumatyzmem Jankowskiego — przyznał Zielonka.

— No, lecz Butrym wziął do serca. Niechże Ramorino z Podlodowa do boku Rüdigerowi się dobierze — to i bez Milberga zadamy mu bobu. Imaginuję sobie, ile będą miały do grzmocenia armaty pułkownika.

— Byle ich starczyło. Kusa baterya. I w dodatku rozdzielić ją wypadnie.

— Sądzisz pułkowniku?

— Bo jeżeli rezerwa ma pilnować Charlejowskiego traktu...

— Prawda, prawda, ze dwie armaty trzeba, bodaj dla dania sygnału.

Generał spojrzał na zegarek.

— Dziesiąta.

Zielonka i Bem dźwignęli się z za stoła.

— Pora nam, generale.

— Nie zatrzymuję. Na świt czeka nas pobudka.

Turno uścisnął serdecznie dłonie pułkowników i ze swą dworską atencyą do podsieni ich odprowadzał. Gdy naraz tuż przed chatą generała zarył konia oficer ordynansu.

Adjutant Turny poskoczył do oficera.

— Co to! Kto!?

— Porucznik Kiersnowski, czwartego ułanów, raport z podjazdu od Podlodowa!

— Daruj waćpan — zakrzyknął generał.

Kiersnowski zeskoczył z konia i stanął przed generałem.

— Podpułkownika Butryma zagarnęli kozacy.

— Butryma!

— Tak, panie generale. Podjazd nasz, wracając od Podlodowa, pod zagajnikiem znalazł rannego ułana, który bryczkę podpułkownika eskortował. I tyle odeń dowiedzieliśmy się, że bryczka pomknęła wprost na linię placówek nieprzyjacielskich. Zresztą przytomność mu się splątała. Mówił jako mu kozak, w bryczce siedzący, wypalił prosto w oczy. Ma przestrzeloną szczękę...

— Ale to nie może być! Gdzież ten ułan?

— Niosą go żołnierze — jest bez ducha.

Turno zawołał o konia i bez mitręgi podążył z Kiersnowskim na drogę do Podlodowa. Bem z Zielonką udali się za generałem.

Tuż za pikietą ułańską na Podlodowskim trakcie napotkano żołnierzy, niosących rannego.

Turno kazał go nieść coprędzej do najbliższej chaty. Dwóch sztabs-lekarzy pochyliło się nad rannym.

— Co, panowie? Żyw? — badał niecierpliwie Turno.

— Wygrzebie się, choć nie prędko, bo mu kula zgruchotała kawał szczęki. I sianem się wywinie, choć mu lufę pistoletu niemal do głowy przyłożono... Jaki to osmalony...

— Czy by nie można soli rzeźwiących mu zadać?

— Ani myśli, panie generale. Osłabion wielce, krwi zeń wyciekło. Spokojności mu trza.

Generał zafrasował się, ileże przygoda Butryma w głowie mu się nie mieściła. A przecież trudno było wątpić. Kapitan Siewruk, który podjazd odprawiał na podlodowskim trakcie, nie mógłby się rozminąć z bryczką Butryma.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowi radcy miejscy.

W ciągu ubiegłych kilkunastu dni dokonał Kraków uzupełniających wyborów do rady miejskiej. Wybierano mianowicie 33 radców „Starego Krakowa“ i 11 z gmin przyłączonych. Wybory odbyły się według zwyczajnego szablonu, bez jakichkolwiek niespodzianek, zgodnie z wolą komitetów poszczególnych kuryi. Jedynie w kuryi inteligencyi walka była dość ostra i starły się ze sobą dwa stronnictwa, mianowicie związek ekonomiczny urzędników i profesorów ze stronnictwem demokratycznem. Zwyciężyła lista demokratyczna, gdyż przeszła większość kandydatów, na tej liście pomieszczonych.

Z 44 wybranych w tym roku radców, tylko 12 jest zupełnie nowych. Są nimi rr. Bazes, Biskupski, ks. Caputa, Czunko, Meus, Mikucki, Muranyi, Peltz, Schneider, Starzewski Tad., Twaróg i Wajda.

Portrety ich zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Skład obecny rady miejskiej nie jest jeszcze zupełny, gdyż w najbliższym czasie wybiorą radców miejskich trzy ostatnio do Krakowa przyłączone gminy, a to: Dąbie, Ludwinów i Płaszów. W ten sposób będzie liczyć rada m. Krakowa 86 członków.

Nową radę miejską czekają trudne bardzo zadania i obowiązki. Kraków, przez przyłączenie gmin podmiejskich, stał się miastem bardzo dużem, a uporządkowanie stosunków i gospodarowanie w niem, bardzo skomplikowane, wymaga wielkiej energii i sprężytości ze strony rady.

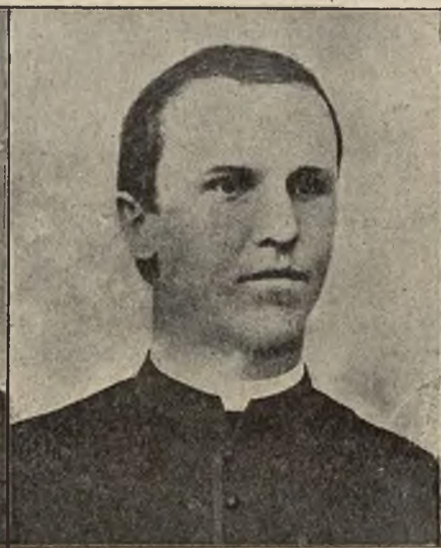
Przy tegorocznych wyborach powołali obywatele krakowscy do grona radców miejskich szereg ludzi bardzo wybitnych, dających rękojmię, iż nie zawiodą pokładanych w nich nadziei, że będą pracować z poświęceniem dla dobra prastarej stolicy, że jej interes przedewszystkiem będą mieli zawsze na oku.



Gustaw G. Bazes.



Ignacy Biskupski.



Ks. dr. Józef Caputa.



Adam Czunko.



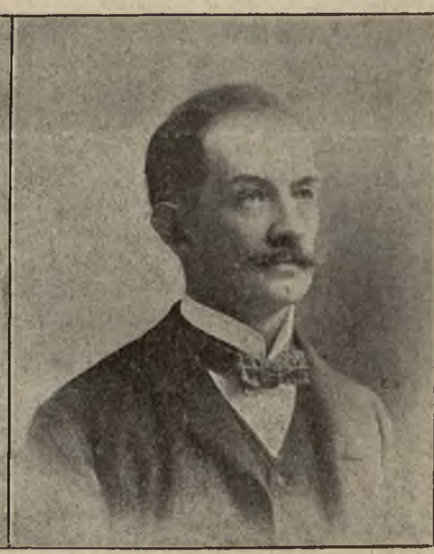
Rajmund Meus.



Ksawery Mikucki.



Roman Muranyi.



Inż. Jan Peltz.



Dr. Ludwik Schneider.



Dr. Tadeusz Starzewski.



Dr. Feliks Twaróg.



Wincenty Wajda.

Kronika tygodniowa.

Ucichły surmy wojenne. Na pobojowisku pod magistratem leżą jeszcze pukawki papierowe, na ścianach narożnych kamienic wiszą jeszcze strzępy odezw, zagrzewających do boju. Po knajpkach spotkasz zwycięsców, oblewających wiktoryę — tamże koją swe rany i zwyciężeni. Tylko u szeregowców z intelligencyi są nosy na kwintę spuszczone, albowiem sroga dotknęła ich niedola. Zakpiono z nich siarczyście. Sądzili, że stoczy się walka między zasadami demokratycznemi a urzędniczemi, że jedna z tych dwu stron otrąbi na polu bitwy zwycięstwo. Tymczasem wmieszał się do walki p. Beringer, najwybitniejszy tej kuryi przedstawiciel. I nie oparło się nic jego woli; pomieszał kandydatów i zrobił się groch z kapustą: wyszedł ksiądz obok żyda, demokrata obok konserwatysty. Oprócz wspólnych kandydatów, z „urzędników" przeszło tylko tych dwu, jakich raczył przyjąć na swą listę p. Beringer. A jeżeli się weźmie na uwagę, że jeden z nich, jako profesor uniwersytetu, jest tylko *de nomine* urzędnikiem, bo żadnego urzędu nie sprawuje, a tylko bierze pensyę rządową — to mający oczy ku widzeniu ujrzeli, jaką „klapę" zrobiła wyborcza akcya urzędnicza.

Poza wolą p. Beringera rozgrywała się tylko walka wyznaniowa. Rzucono między żydów hasło, aby nie dawać głosów księdzu — nawzajem ze strony katolickiej wykreślano kandydata wyznania mojżeszowego. I okazało się, że w Krakowie jest więcej żydów, niż katolików, bo na ks. Caputę nie głosowało 1350 wyborców, a na p. Sarego nie głosowało tylko 900. Pozostała „bezwyznaniowa" część wyborców oświadczyła się za obu kandydatami. Może zresztą katolików było więcej niż 900 (ściśle 897). ale, jak to stwierdził ks. biskup Nowak, rozpuszczono pogłoskę, jakoby konsystorz biskupi, względnie sam biskup „wpływał a nawet sam nacisk wywierał", aby na liście urzędników umieszczono p. wiceprezydenta Sarego. Jestto drobny, ale piękny przyczynek, jakich środeczków używano do otumanienia zwolenników listy urzędniczej. Pysznym jest równie ów radca katolicki, co to poszedł na Kazimierz i wskutek tego ukazały się listy tylko z dwoma nazwiskami: Sare — Twaróg.

Ale wieczny odpoczynek wyborom i: niech żyją wybory! Odpoczynek miejskim, niech żyją parlamentarne. Zresztą i bez tego okrzyku żyć będą, bo tak chciał p. Bienerth i na to muszą się zgodzić wszyscy pracujący nad zbawieniem c. k. ojczyzny. Kronikarz *Nowości* niema zamiaru brać czynnego udziału w nadchodzącem zmaganiu się wielkich mężów narodu, którzy geniusz swój i siły pragną ofiarnie poświęcić dla dobra społeczeństwa i w tym celu urządzą między sobą wielką bijatykę. Kronikarz wziąłby może udział, gdyby mu zapewniono choć dziesiąty procent od kwoty, którą złożą czcigodni obywatele kraju na rzecz wyborów. Ponieważ przy powszechnem głosowaniu (i to jest jego dobra strona) obrót pieniężny przy każdym osobno wyborze w Galicyi wynosi przecięciowo koło 50,000 koron — przeto kwota wydana na uzyskanie zbawców ojczyzny dojdzie do 5 milionów. Dziesiątym procentem, wynoszącym pół miliona, gardziłbym nie mógł, a nawet bym coś jeszcze opuścił, gdyby się bardzo targowano. Mam też silne przekonanie, że za 5 milionów koron możnaby daleko więcej uczynić dla kraju, niż wysłać do Wiednia kopę Polaków, pół kopy Rusinów i koło dziesięciu żydów. I to jeszcze jakich Polaków, jakich Rusinów i jakich żydów! Gdyby to była sama „sól", gdyby to były same „hołowy", gdyby to był sam „cymes" — to co innego. Ale tęgi poseł to istny raróg w tem gronie, natomiast pełno w niem głów do pozłoty, warchołów. hajdamaków, geszefciarzy. A przy tym obrocie finansowym nie sprawdza się nawet przysłowie: „głupi daje, mądry bierze", coby poniekąd wyrównało szkodę moralną, jaką przynosi korupcya wyborcza. Ale głową muru nie przebijesz — będzie tak „jak buwało". Oby tylko wyborcy poszli za przykładem braci śląskich z pod Prusaka, którzy przed paru miesiącami, tworząc radę nadzorczą stronnictwa, wybrali do niej między innymi dwu członków, z których jeden nazywa się Niedurny a drugi Polak. Boczego jak czego, ale prawdziwych Polaków i do tego niedurnych, bardzo nam potrzeba.

A z wyliczonych „trzech narodów", jakie staną do urny, żadnego nie przenika taki zapał wojowniczy, jak żydów „niezawisłych". Dość przeczytać sprawozdanie ze zgromadzenia, jakie się odbyło w d. 1 kwietnia (proszę nie myśleć, że to *prima Aprilis*) przy ulicy Bocheńskiej na Kazimierzu. Było to w sobotę, po czwartkowej bitwie z kuryi małego przemysłu. Więc też wszystkie przemówienia dyszały radością z odniesionego zwycięstwa. „We czwartek była bitwa — mówił dr Lauer — i zakończyła się naszą wygraną". Radca Krongold, dziedzic ducha mężów rewolucyi francuskiej, wołał: „Naszem hasłem jest wolność, równość i braterstwo — pod tem hasłem i w przyszłości będziem walczyli. Musieliśmy walczyć przeciw kahałowi, który sromotnie legł na placu, gdyż na jego kartkach stali obok siebie Wasserberg z Dutkiewiczem.., Dlaczego kahał nie wybuduje łaźni?" Z łaźni przeszedł mowca do okrzyku na cześć posła Grossa, a po nim poseł Landau mówił: „Ze sławą odparliśmy atak; słynnym będzie czwartek 30 marca!" Tegoż zdania byli panowie Schmelkes, Pitzele i ostatni z przemawiających dr. Gross. „Wracacie z pola bitwy — mówił ten wódz do wiernych towarzyszy broni — wracacie jako zwycięscy. Mówiłem wam, że będziemy mieli naprzeciw siebie wielką linię frontową, jak w wojnie rosyjsko-japońskiej; musimy walczyć jak Japończycy... Wojsko nasze już rano było na polu bitwy..."

Z tych porównań i przenośni wojennych najlepiej widzimy, jaki duch ożywia te tłumy. Stąd nic dziwnego, że zamykając księgę przeszłości, poseł Landau wspomniał o najbliższej przyszłości. „Oręża naszego zwycięskiego — wołał — nie wolno nam chować do pochwy, lecz należy go ostrzyć i trzymać w pogotowiu na czerwiec". W tym duchu przemawiali i inni mówcy, aż wkońcu uchwalono „z wielkim zapałem" rezolucyę, „proklamującą kandydatem dra Grossa i wzywającą do energicznej walki, celem przeprowadzenia tej kandydatury".

Widzimy więc, że jeden z trzech narodów stanął już pod sztandarem Bellony. Mołojce drugiego kokietują obecnie Temidę, ale nie jest im z tem do twarzy. Proces lwowski bardzo przykre czyni wrażenie. Oskarżeni wszystkiemu zaprzeczają, do niczego się nie przyznają, chcą zrzucić ze siebie odpowiedzialność na osoby fikcyjne. Gdyby otwarcie powiedzieli: postępowaliśmy tak, jak uważaliśmy za słuszne, chwyciliśmy się tej broni, jaką uważaliśmy za najlepszą — to moglibyśmy tej słuszności nie przyznać, tę broń potępić, ale uznalibyśmy, że ci ludzie mają odwagę przyjąć na siebie odpowiedzialność za swoje czyny. Tymczasem ci bohaterowie zachowują się jak dzieci przyłapane na psocie i pragnące wykpić się od rózgi. Bez względu, jaki wyrok zapadnie, szacunku dla siebie wzbudzić nie mogą.

Trzeci naród, mający stanąć do boju, zajmuje się przedewszystkiem kłótnią o to, gdzie postawić pomnik Kościuszki, a następnie procesem Kanarkowym w Tarnobrzegu i footbalami, którym „z niesłabnącem zaciekawieniem przyglądają się tłumy publiczności" (słowa sprawozdawcy). Co prawda, mówię tylko o krakowskiej części tego narodu, bo może Lwów z prowincyą interesuje się czemś więcej niż tem, co bają członkowie „11 kulturalnych instytucyi", w jakim pan Paduch jest humorze i w czyich nogach spoczywa sława „Cracovii" lub przyszłość „Wisły".

Czerwcowymi wyborami na razie z „trzeciego narodu" zajmują się najsilniej ludowcy, których rada naczelna obradowała w Krakowie. W państwie tem się coś psuje. Oprócz istniejącej już frondy, nastąpiło starcie na tle jakości kandydatów. Pan Stapiński jest zdania, że należy wybierać chłopów, bo pomiędzy ślepymi i jednooki królem. Krakowscy zaś ludowcy sądzą, iż rzucanie bezwzględnego hasła „chłopi wybierajcie chłopa" nie odpowiada ani interesom ludu, ani interesom stronnictwa (a czy można zapominać o interesie pana Stapińskiego?). Oczywiście, że słuszność leży nie po stronie p. Stapińskiego. U Rusinów wybierają prawie sami chłopi, a posłuje do Wiednia tylko intelligencya. Bo trzeba mieć braki poważne w umyśle, lub w dobrej woli, aby sądzić, że na gruncie wiedeńskim wystarczą ludzie bez wykształcenia.

W samym Krakowie, poza przygotowaniami żydowskiemi, jeszcze zupełna cisza. Bo i po co naprzód mózg wysilać, kiedy są tacy, co chcą ofiarować swe siły państwu i krajowi; porozumieją się oni na czas ze sobą: ty staniesz tu, ja stanę tam, ty mnie poprzesz, ja ciebie poprę — i będzie zgoda. Będzie *Czas* popierał demokratę, aby przemycić w innym okręgu konserwatystę, będzie *Reforma* przemawiała za konserwatystą, aby w innych dzielnicach przeszli demokraci. Poczciwe dusze zawsze się zgodzą, gdzie idzie o interes... kraju (kto chce, może przeczytać: gdzie idzie o interes jednostek). A zanim te układy zostaną zawarte, narodek sobie śpi — a po ich zawarciu przewróci się na bok drugi i spać będzie aż do 13 czerwca.

W tymże czasie wyścigów o mandaty, będą już i prawdziwe wyścigi na Błoniach. Jestto jeden ze zbytków krakowskich, bo po co sprowadzać z dalekich stron jakieś szkapięta, kiedy hodowla wyścigowych koni w Galicyi niema żadnej przyszłości. Obdziera się tylko trochę totalizatorowiczów, aby zapłacić żokejów. A żokeje, czy dżokeje (mówiąc nawiasem), nie mają się już więcej nazywać dżokejami, bo w Warszawie ogłoszono konkurs na polską nazwę takiego chudego i połamanego pana, co jest kandydatem do rozbicia łba przy przesadzaniu przeszkody.

Ale choć koni u nas niema, a wyścigów jest pięć dni zaledwie, gra w totalizatora odchodzi u nas przez dwie trzecie roku. Masz w Krakowie całą gromadę ludzi, co myślą tylko o tem, czy postawić na „Kakewalka", czy na „Jupe culotte", na „Bimbambum" czy „Tyndyryndę". A jeżeli się zdecydują, to biegną do założonej w Krakowie ku ich uszczęśliwieniu filii p. Lackenbachera i wyciągają nieraz ostatnią dziesiątkę z kieszeni, aby próbować szczęścia w Wiedniu, Alag, Badenie lub w Budapeszcie. Warto posłuchać ich rozmów: jak oni znają wszystkie konie, choć ich na oczy nie widzieli, jak wiedzą, jaką każda szkapa ma wagę, kto ją rodzi, kto jej dosiada, kiedy była pierwszą, drugą, trzecią, z jakimi końmi biegała, ile za nią płacono na „Sieg", a ile na „Platz". Jeżeli się paru takich znawców razem zejdzie, to przysiągłbyś, że to właściciele stadnin, a przynajmniej dżokeje, startery, handicapery. Słuchasz, a nic nie rozumiesz, bo mówią językiem końsko-angielskim, przeplatając go polskimi wyrazami. Pomimo jednak tego znawstwa, „przerzynają" zazwyczaj, bo „szelma" Tyndyrynda" wyrwała się przy starcie, lub łajdak (tu nazwisko dżokeja) lekceważył bieg i zapóźno wziął udział w finishu. I ciągle spotykają ich takie nieszczęścia, ciągle napychają kieszenie bookmacherom, bo nie chcą uznać mądrości przysłowia: „nie graj Wojtek, nie przegrasz żip kilotek".

Ale mniejsza o totalizatora, bo oto nadchodzą święta, poprzedzone rzezią niewiniątek. Będziemy dzielili się jajkiem święconem, będziemy się znęcali nad śmiertelnymi szczątkami wieprzów, prosiąt, cieląt, indyków, będziemy robili dowcipy na temat wyrośniętych i pulchnych bab, będziemy pili wszelaką lurę, uznając ją za czystego węgrzyna, będziemy chwalili mazurki i placki „własnej roboty", będziemy całowali się z dubeltówki i przysięgali sobie miłość aż... do dnia ostatniego.

Żart żartem, ale pomimo wszystkich utyskiwań, pomimo rozumnych wywodów, że święcone „nie ma sensu", że jest grobem oszczędności, hodowlą obżarstwa i pijaństwa — przecież to wielkanocne święcone ma swój urok, jest pewną przerwą jednostajności życia, oderwaniem się od codziennych kłopotów, spójnią towarzyską, środkiem do wylewu uczuć serdeczniejszych. Więc choć to „głupia tradycya", nie bądźmy zanadto rozumni i obchodźmy ją jak nas stać, życząc sobie, abyśmy doczekali nowego święconego i aby za rok było nam, jeżeli nie lepiej, to przynajmniej nie gorzej.

Stanisław Barcewicz.

Miłego gościa usłyszy w przyszłym tygodniu muzykalny Kraków. Oto w Starym teatrze wystąpi z własnym koncertem jeden z najzasłużeńszych i najlepszych skrzypków polskich, dvrektor warszawskiego konserwatoryum, Stanisław Barcewicz.

Nazwisko Barcewicza jest powszechnie w Polsce znane, a sławę tę zdobył sobie w ciągu wieloletniej karyery artystycznej skrzypka-wirtuoza, muzyka nieprzeciętnych zdolności, uznanych nietyko przez rodaków ale i zagranicą.

Barcewicz spędził większą część swego życia w Warszawie, tam też położył ogromne zasługi około rozwoju muzyki polskiej, jako znakomity pedagog.

Program koncertu, ogromnie zajmujący, ułożony z wielkim smakiem artystycznym. zapewni mu niewątpliwie pełne powodzenie.

Zgon słynnego śpiewaka.

Smutnem echem odbiła się we wszystkich dzielnicach Polski wiadomość o śmierci znakomitego do niedawna śpiewaka operowego, Władysława Floryańskiego, jednego z najlepszych w swoim czasie tenorów bohaterskich, wieloletniego artysty opery „Narodnego Divadla“ w Pradze, ostatnio zaś reżysera opery w miejskim teatrze we Lwowie.

S. p. Władysław Kohman-Floryański, urodzony 1856 r. we Lwowie, był przed rozpoczęciem karyery artystycznej urzędnikiem pocztowym. Równocześnie jednak kształcił się w szkole operowej pod kierunkiem Gerlicza i Souvestra a po jej ukończeniu wstąpił do teatru Skarbkowskiego, gdzie śpiewał partye operetkowe. Piękny głos tenorowy Floryańskiego o charakterze dramatycznym, zwrócił nań uwagę ogólną, poczęto mu więc powierzać partye operowe, a nadzwyczajne powodzenie, jakie zdobył rolą Konrada Wallenroda w operze Żeleńskiego pod tym tytułem, stało się podstawą dalszej, świetnej karyery. Zaangażowany 1887 r. do „Narodnego Divadla“ w Pradze, spędził tam kilkanaście lat na stanowisku pierwszego tenora opery. W tym czasie występował ponadto gościnnie w wielu teatrach zagranicznych i polskich, ciesząc się zawsze ogromnem powodzeniem.

Po opuszczeniu Pragi, występował we Lwowie, bawił przez krótki czas w Ameryce, poczem powrócił do Lwowa, na stanowisko reżysera opery miejskiego teatru. Pracował w tym charakterze do niedawna, a publiczność krakowska miała sposobność śledzić jego działalność podczas dwu ostatnich sezonów letnich lwowskiego teatru w Krakowie. W ostatnich czasach zaniemógł ciężko i zmarł w ubiegły wtorek w rodzinnem swem mieście.

Tunel przez Lötschberg.

Dokonano przebicia Lötschbergu. Czterech lat trzeba było do wykonania robót około tego dzieła olbrzymów, gdyż nowy tunel dorównywa prawie długością tunelowi Gothardzkiemu. Pierwszy mierzy 14998 m. Inne roboty potrwają jeszcze około dziesięciu miesięcy, ale uroczyste otwarcie nastąpi dopiero 1 maja 1913 r.

Nowy tunel niema znaczenia europejskiego, gdyż tylko bardzo nieznacznie skraca drogę z Paryża do Medyolanu. Natomiast ma doniosłe znaczenie dla kantonu berneńskiego, w którym Lötschberg jest położony i wogóle dla Szwajcaryi, a Francya również jest interesowana w tem przedsiębiorstwie, gdyż paryscy kapitaliści zajęli się jego sfinansowaniem. Kosztorys robót wynosił 50 milionów franków, ale okazała się potrzeba dołożenia do tej sumy, ponieważ musiano omijać pewne trudne do przebicia skały i tunel w trakcie robót wygiął się w trzy linie krzywe, nie przewidziane w pierwotnym planie.

Południowa i północna grupa robotników spotkały się 31 marca u wylotu wykutych przez siebie galeryi. Naturalnie z trzechtysięcznej rzeszy, pracującej przy tunelu, tylko garstka uprzywilejowanych mogła uczestniczyć w tem radosnem powitaniu. Inżynierowie uścisnęli sobie serdecznie ręce, a za ich przykładem poszli robotnicy. Tę chwilę przedstawia właśnie nasza illustracya.

Nowy prezes Dumy.

(Do illustracyi na str. 4).

Sprawy wewnętrzne cesarstwa rosyjskiego znajdują się obecnie w stadyum przejściowem, pomiędzy Radą państwa a Dumą nie może przyjść do porozumienia, obydwie instytucye różnią się zasadniczo pod względem zapatrywań na rozwiązanie sytuacyi. Jest rzeczą charakterystyczną, że kiedy Rada państwa, złożona w połowie z mianowanych dygnitarzy państwowych, wystąpiła przeciw Stołypinowi za pogwałcenie konstytucyi, Duma, przez wybór Rodzianki na prezesa, pogodziła się z faktem i skapitulowała, jest on bowiem znanym zwolennikiem Stołypina i reprezentuje prawe skrzydło październikowców. Ta kapitulacya jest powodem, że najwybitniejsi październikowcy, jak: Chomiakow, von Anrep, Lerche, Szydłowskij i ks. Golicyn oświadczyli, że występują ze składu zarządu stronnictwa.

Ogółem padło przy pierwszym wyborze na Rodziankę 188 głosów, na ks. Wołkońskiego 124, przy ściślejszym otrzymał Rodzianko 190, a jego kontrkandydat 123. Przed wyborem oświadczyli socyaliści i członkowie partyi pracy, że w wyborze nie wezmą udziału, ponieważ nie chcą objąć odpowiedzialności za prace Dumy w obecnych warunkach.

Nowy prezes oświadczył w mowie powitalnej, że wierzy w siłę żywotną i znaczenie państwowej



Stanisław Barcewicz.



Tunel przez Lötschberg: Dwie grupy robotników spotykają się w kutym od lat blisko czterech tunelu.



Zgon słynnego śpiewaka: Ś. p. Władysław Kohman-Floryański.

reprezentacyi ludowej dla Rosyi. Ta wiara jego wzmocniła się podczas ostatnich dni, pełnych obaw i podniecenia, które zdaniem jego były zbyteczne, wskazał na solidarność wszystkich stronnictw w ostatnich dniach i wyraził nadzieję, że na przyszłość niczego nie należy się obawiać. Duma może spokojnie wypełniać dalej swe wzniosłe zadania.

Michał Władymirowicz Rodzianko jest jednym z najwybitniejszych członków stronnictwa październikowców. Urodzony w r. 1859 był początkowo oficerem w korpusie kawaleryi gwardyi, następnie profesorem matematyki w gimnazyum realnem i brał zawsze żywy udział w życiu publicznem.

Wycieczka uczniów.

Prowadzona wedle zasad nowszej pedagogiki szkoła posługuje się obok nauki w dosłownem znaczeniu, wielu innymi środkami, nie zaniedbując żadnej sposobności pokazania uczniom czegoś, coby mogło rozszerzyć widnokrągich pojęć i bez specyalnego trudu, dzięki samemu urokowi rzeczy nowych, powiększyć zasób wiadomości. Jednym z takich ważnych czynników wychowawczych, są podróże. Najbarwniejszy opis nie da nigdy tak jasnego i dokładnego wyobrażenia, jakie pozostawia wycieczka — naturalnie umiejętnie pokierowana i odbyta pod okiem nauczyciela. Wykuta lekcya wywietrzeje z głowy prędko, ale wspomnienie pobytu w obcem mieście trwa, wzbogacając umysł dziecka i pobudzając je do dowiadywania się i przyswajania sobie coraz nowych szczegółów raz widzianych przedmiotów.

Godny naśladowania przykład dała w tych dniach dyrekcya szkoły wydziałowej męskiej imienia Kordeckiego we Lwowie, urządzając wycieczkę uczniów do Wiednia i Pragi. Grupę jej uczestników przedstawia załączone zdjęcie fotograficzne.



Wycieczka uczniów: Młodzież szkoły wydziałowej męskiej im. Kordeckiego we Lwowie, która pod kierownictwem nauczycieli odbywa w tych dniach wycieczkę do Wiednia i Pragi. (Fot. M. Münz, Lwów).

Koń w podróży morskiej.

(Do illustracyi na str. 10).

Francya zaangażowała się poważnie w Marokku, a ponieważ wybuchają tam coraz nowe zaburzenia i zamieszki, wysyła wciąż wojska posiłkowe swemu korpusowi okupacyjnemu. Wydatki na ten korpus wyniosły w ciągu ostatnich czterech lat 77 milionów franków.

Jak wiadomo, sytuacya w Marokku jest obecnie niebezpieczniejsza, niż była kiedykolwiek od czasu krwawych zajść w Casablance. Sprzymierzeniec republiki, sułtan Mulej Hafid rozpaczliwie broni się przed powstańcami, lecz ponosi klęskę za klęską i jest prawdopodobnem, że w najbliższych dniach stolica jego wpadnie w ręce pretendenta. To też rząd francuski przeznaczył na wzmocnienie pułkownika Maugin dodatkowy kredyt w kwocie półtora miliona franków i posiłki dla niego wypłynęły z Tulonu na pokładzie transportowego okrętu Vinh Long.

Ponieważ wśród nich znajdowała się artylerya, przewożono także potrzebną ilość koni. Załączamy ciekawą illustracyę, przedstawiającą wsadzanie jednego z nich na statek. Odbywa się ono za pomocą rodzaju windy, a zwierzę wisi przez pewien czas w powietrzu, przytrzymywane skórzanymi pasami.

Uzdrowisko wychowawcze dla wątłych dzieci.

W kwietniu b. r. otwiera znany lekarz wychowawca, dr. Julian Gawroński, w miejscowości klimatycznej Vevey nad Lemanem (francuska Szwajcarya) uzdrowisko wychowawczo lecznicze dla wątłej dziatwy polskiej z pod trzech zaborów i Ameryki. Celem jego będzie podtrzymać, rozwinąć i zahartować słabo wegetujące siły fizyczne wątłego dziecka do tych granic, na jakie w danym wypadku pozwoli indywidualizm każdego osobnika, oraz wdrożyć dziecku nawyknienia hygieniczne, dzięki którym ustrój utrzymywałby się w późniejszem życiu na poziomie przywróconego mu zdrowia. Podstawowym środkiem do osiągnięcia powyżej wymienionych zadań będzie wychowanie, oparte na ogólnych wskazaniach współczesnej wiedzy o dziecku i przystosowujące się do potrzeb danej organizacyi dziecięcej.

Miasto-ogród nad Lemanem, otoczone afiteatrem gór, osłaniającym od wiatrów północnych, ma klimat bezmglisty, suchy, o nieznacznych wahaniach ciepłoty. W takich klimatycznych warunkach wszystkie pory roku mają przebieg łagodny, nie pozbawiony jednak hartującego wpływu, dzieci wątłe mogą tu przez rok cały w czasie dnia przebywać stale na świeżem powietrzu i korzystać z niego w czasie snu. Miejscowe warunki hygieniczne i kulturalne są też wprost zdumiewające.

Posiadłość, przeznaczona na uzdrowisko, leży na wysokości 400 m. nad poziomem morza wśród sadów i winnic; naokół roztacza się wspaniały widok na jezioro i majestatyczny amfiteatr gór. Wewnętrzne urządzenie domu w niczem nie przypomina szkoły, ani instytucyi leczniczej, jest to raczej wzór hygienicznie urządzonego ogniska domowego.

W powyżej opisanem środowisku, łączącem w sobie odatnie strony wsi i miasta, odbywać się będzie praca ruchliwa na świeżem powietrzu, nie mająca jednak charakteru przeciążającego, tylko rozwijający i wzmacniający, praktyczna nauka języków obcych, poezya, śpiew i muzyka dopełnią całości wykształcenia. O ile dziecko oddane będzie do uzdrowiska na lat kilka, osiągnie drogą powyższą ten stopień



Uzdrowisko wychowawcze dla wątłych dzieci: Widok zakładu od strony jeziora.



Uzdrowisko wychowawcze dla wątłych dzieci: Zakład dra Juliana Gawrońskiego w Vevey nad Lemanem.

umysłowego rozwoju, z którym łatwo przygotowuje się do zdania egzaminu dojrzałości w szkole średniej realnej niemieckiej, austryackiej lub rosyjskiej.

Opłata od dziecka na rok szkolny wyniesie tysiąc rubli.

Szajka złodziejska.

W więzieniu śledczem sądu w Sanoku znajdują się: 1) Karol Iwańków false Johann Firlet, liczący



K. Iwańków. A. Iwańków. D. Singer. M Birnhack f Pomarancz.

lat 28, syn Antoniego i Maryi z Małeckich, urodzony w Rybnie koło Stanisławowa w Galicyi, robotnik, zamieszkały we Lwowie; 2) tegoż brat Antoni Iwańków, liczący lat 24, stolarz z zawodu; 3) Dawid Singer, liczący lat 19, pomocnik szewski, urodzony w Sanoku, pod zarzutem popełnienia zbrodni kradzieży a to: banknotów na 2000 koron, 5 sznurków pereł i innych klejnotów, która to kradzież w nocy 3 i 16 czerwca 1910 w Sanoku popełnioną została.

Zachodzi podejrzenie, że kradzież tę popełnili i inni obwinieni a mianowicie: 4) Władysław Rybak; 5) tegoż kochanka Stefania Lachowska, licząca około lat 22, kobieta lekkich obyczajów z Krakowa; 6) Lieser Markus Hersch Birnhack false Max Pomeranz albo Pflanzengräber, 29 lat liczący, urodzony w Grębowie powiat Tarnów, którzy to obwinieni pod 4, 5 i 6 wymienieni, zbiegli.

Zamieszczając fotografię obwinionych pod l. 1, 2, 3 i 6 wymienionych, upraszamy, aby w razie, gdyby komu były bliższe szrzegóły znane co do popełnienia powyżej wymienionych kradzieży, lub co do miejsca pobytu osób obwinionych a w szczególności Władysława Rybaka, Stefanii Lachowskiej i Liesera Markusa Herscha Birnhacka, o szczegółach tych doniósł sądowi w Sanoku, oddział VIII.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 13.

Trójkąt magiczny:

J u p e e u l o t t e
U l e p s z e n i e
P a r a g r a f y
E l e o n o r a
C e b r z y k
U s t r o ń
L u t e r
O s e t
T a k
T a
E

Szarada: Wyżły, łyżwy.

Zadanie do przestawienia: Ja o Pawle, on o Gawle.

Szarada: Gramatyka.

Arytmo-logogryf:

G
B a r
N u b i a
K o r a l
M a r y u s z
R a d e c k i
H a l k a
M a ź
z
C a r
K o p i a
K o s
U l e
W e s t a
K r a k u s y
M a g d a l e n a

Zadanie do przestawienia: Kto panuje, wolność traci.

Łamigłówka:

R a k
R e k
K i r
R o k
K u r
R y k

Zadanie przysłowiowe: Wielki człowiek do małych interesów

Szarada: Hakata (H. K T.)

Zadanie do przestawienia: Po nici do kłębka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: A. Biliński Tarnopol, W Ossowski Warszawa O. Gorkowa Chyrów, K. Kaim Kraków, S Kowalowka Kraków, M Planecka Kraków, F Gebhardt Kraków, K Radoszewski Kolbuszowa, J. Nawojski Rozwadów, M. Cichowicz Wilno, S. Gołęb owska Warszawa, J. Balicki Tarnów, S Barnat Rzeszów, J Nowacki Przemyśl, H Kozłowska Lwów, Z Ogibiński Nowy Sącz, K Giński Stanisławów, H. Lindenbaum Kołomyja, J. Ohrenstein Czerniowce, Z. Postępska Drohobycz, J. Wyka Wadowice, H Zachara Sambor, K Dorożyński Kijów, R. Kinalski Sanok, J. Scholz Kałusz, M Bernatowicz Jasło, J. Leszczyński Krosno, M Martynowicz Przemyśl, J Chlebowski Jasło, T. Tokarski Cieszyn, J Jahoda Cieszyn, H. Piątek Podwołoczyska, J. Obraczay Dziedzice, W. Ostrowski Piotrków, M. Więckowska Warszawa, W. Thun Płock. M. Kalinowska Kalisz, J. Bandrowski Sanok, R. Kwaśniewski Kraków, J. Świrski Łódź, J. Pick Łódź, K Toporowski Rzeszów, S. Gryziecki Stanisławów, J. Trepka Radom, W. Mazaraki Lublin, M Wojkowski Tarnopol, I. Brzostowski Kraków. S Ciszewski Jasło, K. Ullman Sanok, J Kielar Kołomyja, J. Czarkowski Żołkiew, K. Armatys Sanok, J Serwatowska Rawa, C Wang Rzeszów, J Engelberg Rozwadów, J Łapiński Tarnobrzeg, K. Lipski Czerniowce. J. Skąpski Warszawa, J. Łopatkiewicz Sanok, W Lemiszewska Sambor, E Górski Stanisławów, J Gralewski Warszawa, H Lisowski Kraków, J Antosz Krosno. J. Krynicki Kraków, H Waligórska Sanok, M Pniewska Poznań. W. Gostwicka Lwów, J. Brożek Cieszyn, S. Turek Wiedeń, M Zervgiewicz Radom, J Sonnenreich Stanisławów, K. Zebrowska Lwów, J. Klemensiewicz Lwów, H Sosnowski Mińsk, J Nowakowski Lwów, M. Bogucki Kraków, Z. Wróblewska Wiedeń, Z. Fedorowicz Jarosław, W Niemiec Stanisławów, K. Dziedzic Rzeszów, W Rogozińska Stanisławów, H. Jastrzębski Kraków, J Horak Cieszyn, S Krzyżanowski Kraków, J John Lwów, K. Topolnicki Sądowa Wisznia, R Zawadzki Tarnów, A. Knapiński Stryj, J. Klappholz Rzeszów. S. Misiewicz Tarnobrzeg, W. Rosenbaum Nisko, H. Sawicki Lwów, K. Spławiński Warszawa, J Boroń Poznań, M. Rzegocińska Berlin, J Schmidt Sosnowiec, W Stankiewicz Częstochowa, S Sygnarska Kraków, J. Witosławski Rzeszów, M Karpińska Częstochowa, M. Silbermann Kraków. R Knapik Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, W Potocka Jasło, J. Stępień Lwów, C Fijałkiewicz Przemyśl, K Turecka Tarnopol, S. Faliszewski Baligród, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p **W. Gostwicka Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Świeżo opuściła prasę broszurka: Wł. A. Mnśnicki **O Domach Towarowych, czyli zmodernizowanym handlu detalicznym**". Praca nagrodzona na „konkursie na od zyt" Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A Turkuł) Warszawa 1911.

W broszurce tej autor porusza wielce ciekawą kwestję powstawania na Zachodzie, a szczególnie w Niemczech, t. zw. Warenhaus'ów.

Autor wykazuje objektywnie dodatnie i ujemne strony Domów Towarowych i. kładąc jednocześnie silny nacisk na korzyści, jakie dają one konsumentowi, wskazuje na stosunek, w jakim stoją Domy Towarowe do przemysłu i odwrotnie.

Broszurka ta, aczkolwiek niewielka, traktująca jednak w kwestji, która w życiu naszem gospodarczem nie znalazła jeszcze zastosowania pomnaża ubogą naszą lekturę w dziedzinie nauk ekonomicznych i zdoła zapewne zainteresować nietylko sfery finansowe i kupieckie, lecz również szersze masy czytelników, jako spożywców i wreszcie pracowników handlowych, o których autor również wspomina, jako zainteresowanych poruszoną kwestją

Nr. I. Illustrowanego dwutygodnika „Ropa", pisma poświęconego sprawom naftowego przemysłu, Organu Związku Techników wiertniczych wyszedł z druku **dnia 10 kwietnia**, przynosząc treść bardzo bogatą, ogromnie urozmaiconą. „Ropa" posiada pierwszorzędne, dokładne informacye handlowe, oparte na zupełnie niewyzyskanych źródłach, jest więc niezbędnem pismem informacyjnem dla każdego, kogo łączą jakiekolwiekbądź stosunki z przemysłem naftowym Prenumerata roczna wynosi 20 kor. półroczna kor. 12., — Numera okazowe wysyła odwrotnie bezpłatnie Administracya „Ropy" w Borysławiu.

Głosy publiczne.

Zmiana nazw stacyi: Grzegórzki, Muszyna-Krynica i Saybusch-Żywiec. Z dniem 1. maja 1911 r zmienia się dotychczasowe nazwy stacyi: Grzegórzki, położonej na szlaku Kraków-Kocmyrzów, na Kraków Grzegórzki, Muszyna-Krynica, położonej na szlaku Orłów-Tarnów, na Muszyna i Saybusch Żywiec, położonej na szlaku Zwardoń-Nowy Sącz na Żywiec. Dyrekcya Kolei Państwowych

W sprawie naszego konkursu o nagrodę 100 Koron.

W terminie konkursowym otrzymaliśmy 4.52 zgłoszeń, zawierających najmniej 3, najwięcej 13002 nowych wyrazów, utworzonych

z liter B, e, l, u, d, ż, y, s, t, a, n,

nie uwzględniając naturalnie stu, ogłoszonych przez Redakcyę w numerze gwiazdkowym z r. 1910.

Poniżej podajemy imienny wykaz osób, które nadesłały **więcej niż pięćset** nowoutworzonych wyrazów:

Szkaradek Michał, Kraków	505
Trochimczukówna Józefa, Cieszanów	514
Wowkonowicz Zofia, Maczugi	537
Serbińska Marya, Budzanów	540
Łonicki Władysław. Olszówka	555
Czepiel Władysław i Janina, Tarnobrzeg	568
Lipiński Stanisław, Kazimierz nad Wisłą	574
Krzeptowska Zofia, Kościelisko	579
Woźniakowski Roman, Warszawa	587
Ks. Konieczny Jakób. Witków Nowy	590
Pogoda Walenty, Kowalowa	611
Giercuszkiewicz Antoni, Nowy Sącz	642
Arbesbauer Marya, Lwów	650
Schnitzel Klemens, Tarnów	696
Woyde Witold, Warszawa	728
Zięba Jan, Zalasowa	734
Rutkowska Bronisława Piotrków	750
Rotyński Antoni. Wola Michowa	771
Furko Zygmunt, Kraków	805
Wallner Edward, Lwów	850
Marut Jan, Łańcut	934
Dorożyński Leon, Kijów	938
Ks. Dziurzyński Leon, Podkamień	1000
Rotter Alfred, Stanisławów	1032
Krzywonos Jan, Kraków	1180
Krzesiński Wiktor, Kiełbasów	1280
Plutyński Tadeusz, Kraków	1301
Ks. Polony Władysław, Maniowy	1376
Nazarewicz Józefa, Probużna	1401
Hammer Eugeniusz, Lwów	1626
Halkiewicz Eugeniusz, Zbaraż	2035
Lewicka Olimpia, Sanok	2300
Deneka Michał, Rymanów	2403
Misiak Antoni, Lwów	3302
Kulesza Józef, Kraków	6234
Gottmann Korneli, Kraków	11056
Januszewski Jan, Kraków	12888
Witowski Ludwik, Petersburg	13002

Nagroda w kwocie **100 Koron gotówką** przypadła wobec tego w udziale p. **Ludwikowi Witowskiemu w Petersburgu,** wysłaliśmy ją też niezwłocznie pod wskazanym adresem.

NADESŁANE.

Ze świata kobiecego.

Ubrać się pięknie i kosztownie nie jest żadną sztuką; potrafi to nawet osoba, pozbawiona gustu i pomysłowości, przy pomocy doskonałego krawca i wytwornej modniarki. Ale ubranie się piękne, mo-



Rys 1. Kostvum z wełny bławatkowej, przybrany jedwabiem w takąż kratkę i rezedowa na białem tle, krawacik z jedwabiu, guziki błękitne. Kapelusz z włosu czarnego, przybrany jedwabiem błękitnym.

dne i eleganckie przy minimalnym wydatku, wchodzi niemal w dziedzinę artyzmu. Celują pod tym względem Warszawianki. Te przysłowiowe elegantki, posiadające zawsze kostyumy według ostatniej mody, kapelusze pełne wdzięku i wytworne drobiazgi, nie należą bynajmniej wyłącznie do arystokracyi, plutokracyi lub najbogatszego mieszczaństwa; nie, między temi wysmukłemi, zgrabnemi elegantkami znajdziemy i nauczycielki, dające lekcye za „dwa złote godzina" (80 h) i sklepowe i buchalterki, wyzyskiwane przez swych chlebodawców; córki urzędników i rzemieślników średniej zamożności, słowem cały ten świat, który w innych miastach przywykli ludzie widywać wyszarzanym i wyszłym z mody. Ta zewnętrzna świetność Warszawianek zaszkodziła niejednej; ludzie bowiem, widząc je nad stan strojnemi, we wrodzonej swej złośliwości upatrywali i szeptali na prawo i lewo o mętnych źródłach dochodu. W rzeczywistości jednak powinni byli podziwiać sztukę ubrania się, polegającą przedewszystkiem na umiejętności zastosowywania sztuki przeróbek. Przerobić suknię każdego sezonu, przerobić tak, aby nic nie straciła na piękności, a zyskała na świeżości modzie, oto usiłowanie każdej prawie Warszawianki, usiłowanie zawsze wieńczone szczęśliwym rezultatem.

Wobec zmienności kapryśnej mody przyswojenie sobie tej umiejętności jest niezbędnem dla każdej średniozamożnej kobiety, tem konieczniejsze, że magazynierki zwykle nierade przychodzą w pomoc przy odnawianiu sukien niemodnych, przekładając robotę z nowego nad przeróbki.

Teraźniejsza moda, bardziej niż którakolwiek, ułatwia możność przerabiania choćby bardzo staroświeckich i niemodnych sukien, pozwala bowiem na mięszaniny nawet w *tailleur* kostyumach.



Rys 2. Kapelusz w stylu Louis XVI. ze słomy blado-żółtej, brzeg czarny; róże w tonach malinowych, przepięcie z czarnego aksamitu.

Załączone dzisiaj dwa rysunki przedstawiają właśnie wzory takich przeróbek bez uszczerbku piękności toalety.

Pierwszy przedstawia kostyum, który, choćby był z przed kilku lat, przybrany w ten sposób materyą jasną w pasy, odpowiadające barwą tonowi kostyumu, czyni go odrazu modnym i strojnym.

Na drugim rysunku szkocka materya przychodzi również z ratunkiem sukni, która mogła mieć przód wyplamiony i wytarte plecy.

Przesądem jest bowiem, aby jednobarwna tylko toaleta miała prawo do wykwintności. Naogół toalety paryskie mają daleko więcej barwności i urozmaicenia, niżby to przypuścić mogły panie, zamieszkujące n. p. głęboką prowincyę. Tam utrzymuje się jeszcze pogląd, że strój powinien być jednobarwnym. Widuje się nieraz takie przybyłe z Obrzydłówka, lub Kikutkowa jejmoście, które z wielką pompą wytykają brązowe trzewiki z pod bronzowej sukni, w ręce obciągniętej bronzową rękawiczką trzymają bronzową parasolkę, osłaniając bronzowy kapelusz, spoglądając z poza bronzowej woalki z pogardą na Krakowianki, czy Warszawianki, których kapelusz różni się barwą od sukni; cóż dopiero, gdy suknia ma dwa a nawet czasem trzy tony!

A jednak to właśnie jest przesądem. Różnobarwność, byle harmonijna, byle na kobiecie kształtnej i ładnie się ruszającej, nie jest nigdy brzydką, a jest nieocenioną siłą pomocniczą przy stosowaniu koniecznych przeróbek sezonowych.

Również ważnem bardzo jest mieszanie różnego gatunku tkanin. Już moda dawania na dole sukni szerokiego pasu aksamitnego daje możność przywracania do stanu świeżości sukien zniszczonych przez błoto i wystrzępienie u dołu. Gipiura i haft odpowiednio zastosowane, pozwalają zakrywać sztukowania i cery, wreszcie rękawy rozcinane, wstawiane, sztukowane tiulem i koronką, wykluczają niemożność przywrócenia jakiejkolwiek toalety do wyglądu modnego.

Zatem, Szanowne Czytelniczki, połamcie trochę główkę, wytłómaczcie odpowiednio magazynierce,



Rys. 2. Suknia z kaszmiru indyjskiego srebrno-popielata; wkoło wycięcia szyi haft z oksydowanego srebra, takież galony na sukni i guziki. Przód i plecy z jedwabiu białego w zieloną kratę. Kapelusz czarny z egretą, podbity jedwabiem *cerise*.

a będziecie miały uciechę w oglądaniu mile zdziwionej fizyonomii pana małżonka, który podziwiać będzie nową toaletę, na którą nie potrzebował wydobyć kilkudziesięciu koron z pugilaresu. *Ramo...*

Z półek księgarskich.

„W obronie czei Jasnogóry“. Pod takim tytułem wydała księgarnia Zdzisława Rzepeckiego i Ski w Poznaniu dzieło, które ze wszech miar zasługuje na jaknajwiększe rozpowszechnienie oraz na uwagę tych sfer inteligentnych i duchownych, którym poruczone jest moralne dobro naszego ludu. Autor, mieszkający obecnie w Krakowie, dawniej w Częstochowie a piszący pod pseudonimem, przedstawia w dziele historyę cudownego obrazu i klasztoru jasnogórskiego aż po najnowsze czasy. Dalej informuje nas o różnych wpływach na ukształtowanie się stosunków w zgromadzeniu Paulinów i przechodzi do dyskretnego a ścisłego opisu „dwóch gromów“, jakie przez świętokradztwo i zbrodnię morderstwa uderzyły w społeczeństwo polskie wszystkich trzech zaborów. Bardzo zaszczytnie wyraża się autor w rozdziale 8-mym o polskiem duchowieństwie w Galicyi; książka pisana w duchu podniosłym a przystępnie działa wprost krzepiąco na czytelnika. Niedziw, że szlachetna tendencya książki, dowodząca jasno, iż za winy zepsutych jednostek nie należy potępiać ogółu, zyskała aprobatę duchowną księdza kanonika Dalbora, oficyała dyecezyi poznańskiej.

Sto czarnych i barwnych rycin, w znacznej części nowych i nieznanych, czyni dzieło popularnem, a plan zabudowań klasztornych będzie miłym nabytkiem dla pątników zwiedzających Jasną Górę. Wykonanie jest piękne, papier bardzo dobry, okładka ozdobna, obrazki kolorowe wprost świetne, a cena stosunkowo niska, bo wynosi tylko Kor. 6.80 franco, przyczem policzyć ją można w ratach miesięcznych.

Znanej firmie księgarskiej pp. Rzepeckich poczytać należy za zasługę, iż jawnie i niedwuznacznie wraz z autorem podjęli zupełnie na czasie wydawnictwo, które popularnością swą wzmocni u słabych wiarę i tradycye narodowe, żywione przez Polaków dla Matki Boskiej na Jasnej Górze. To też nie wątpimy o tem, że duchowieństwo i inteligencya nasza w pierwszej lini popierać będą usilnie i stale rozpowszechnienie dzieła, które w każdym polskim domu, w każdej chacie powinno na poczestnem znajdować się miejscu.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

53

XII.

Pierwszego popołudnia, które Maksym Duret spędził pod strażą Joego Smitha, miliarder udał się do prefektury policyi, by żądać powierzenia sobie panny Dubois. Potem pojechał do jednego z biur mieszkaniowych i kazał dać sobie spis will i pałaców które możnaby wynająć natychmiast.

Dyrektor biura i jego urzędnicy, nie ruszając się z swych miejsc, spojrzeli z góry na człowieka tak biednie ubranego. Ostry jednak głos gościa i pewny siebie ton mowy, jak również i stanowcze, energiczne jego ruchy wywarły od razu na nich wrażenie i stali się bardziej uprzejmi. A gdy usłyszeli nazwisko Lewisa Jacksona i ujrzeli jego portfel, wypchany banknotami, zaczęli kłaniać się uniżenie i wszyscy od razu pośpieszyli podać krzesło tak niezwykłej osobie.

W pół godziny potem Lewis Jackson obejrzał i wynajął wspaniały pałac przy arenie Bois de Boulogne. Potem pojechał do największego składu mebli i kazał w przeciągu ośmnastu godzin urządzić go z wszelkim przepychem.

I w istocie na drugi dzień rano o dziesiątej godzinie pałac Lewisa Jacksona mógł uchodzić za najpiękniejszy przy całej arenie Bois de Boulogne.

Gdy Lewis Jackson przybył obejrzeć urządzenie i wydawał rozkazy zarządcy pałacu, który miał już pod sobą cały sztab służby, zjawił się niespodzianie Maurycy de Ferrade.

— Przychodzę z ulicy Amsterdamskiej — rzekł do miliardera. — Powiedziano mi tam, że pan jest tutaj...

— Nie na długo — odparł Lewis Jackson. — Pałac ten będę odwiedzał tylko czasem, a mieszkać będę po dawnemu w swym małym pokoiku.

Rządca pałacu na znak businessmana wyszedł z pokoju, pozostawiając swego pana sam na sam z gościem.

Inżynier zaczął wtedy mówić:

— Przyszedłem dowiedzieć się na życzenie panny de Lagunan, co pan postanowił względem jej matki i dziadka..

— Postanowiłem, że będą żyli... Pan już o tem wie...

— Tak... Ale w jakich warunkach będą żyli i gdzie?...

— Ach! Jest pan bardzo ciekawy!

Maurycy nie śmiał nalegać.

— I oto panna de Lagunan — rzekł — jest zupełnie sama. Biedaczka...

— Pozostał jej ojciec — zauważył Lewis Jackson. — Nie wiele on wart, co prawda, jako ojciec... Obrona i towarzystwo barona nie wiele znaczą...

— Brak jej jednak i tego... Pan de Laguman wyjechał dzisiaj rano do Afryki jako ajent towarzystwa kolonialnego.

— To niemożliwe! Dlaczego wyjechał?

— Zdaje się, że w ostatnich czasach majątek jego bardzo zmalał... A niedawne wybryki pochłonęły i to, co mu zostało... Panna de Lagunan jest więc nie tylko pozbawiona rodziców... Jest ona literalnie bez jednego susa...

Maurycy mówił to głosem zmienionym, a oczy jego poza okularami pokryły się łzami.

— Ale pan ją kocha — rzekł niespodzianie miliarder. — Wczoraj pańskie wzruszenie na ulicy Amsterdamskiej wytłomaczyłem sobie tą przykrą sceną, jakiej pan był świadkiem. Ta nieszczęśliwa panna na kolanach przed nami mogłaby wzruszyć najokrutniejszego... Lecz pan i dzisiaj na samą myśl o położeniu tej młodej panny jest bliski płaczu... Ach! ach!...

Inżynier zaczerwienił się.

— Do dyabła! I ja pana właśnie prosiłem o zakomunikowanie jej tego ciosu, jaki na nią spadł! Musiał pan przeżyć wtedy niemiłe chwile...

— Bardzo niemiłe — powtórzył Maurycy z drżeniem na wspomnienie wczorajszego dnia.

— *Well!* Postaram się też naprawić to zło... Zwłaszcza, że i pańska ukochana jest godna litości...

— Och! tak!

— Niechże pan jej powie, że baronowa i Maksym Duret nie poniosą żadnej kary fizycznej... Nic im się złego nie stanie... Może ją pan o tem zapewnić...

— Dziękuję!

— Ale — mówił dalej miliarder — jeżeli to robię, to tylko pod tym warunkiem, iż panna de Lagunan zgodzi się pielęgnować Ludwikę Dubois, zamieszkać razem z nią tutaj...

Niczego więcej ona nie pragnie! Cóż onaby robiła sama jedna, opuszczona i biedna w pałacu przy ulicy Ampère!...

— Właśnie dlatego też ofiaruję jej tutaj gościnność. A stawiam to jako swe żądanie, by łatwiej się na to zgodziła...

— Ach! — szepnął Maurycy zdziwiony tą dobrocią, której się nie spodziewał.

Inżynier schwycił bezwiednie rękę miliardera i uścisnął ją serdecznie.

Tegoż wieczora Lewis Jackson i Kamilla pojechali samochodem do świętej Anny. Mieli z sobą dwie najlepsze infirmierki z prywatnego zakładu, kierowanego przez pewnego słynnego doktora. Alienista ten zgodził się jak najdłużej przebywać przy chorej miliardera i jak najczęściej zbierać dokoła niej swych kolegów. Serce Kamilli drżało z bólu, gdy znalazła się wobec swej byłej nauczycielki. Pomogła jej wsiąść do samochodu i przez całą drogę nie spuszczała jej z oka. To czuwanie nad obłąkaną złagodziło trochę jej własne cierpienia.

Ludwika nie stawiała żadnego oporu. Chętnie wyszła od świętej Anny i zajęła miejsce w samochodzie. Wydawała się bardzo zadowoloną, gdy sa mochód szybko jechał. I po przybyciu przed pałac nie straciła uśmiechu z twarzy. Lecz gdy się znalazła w swym pokoju i gdy się drzwi za nią zamknęły, zmarszczyła czoło i szepnęła niespokojnie:

— Piotr...

Szukała oczami młodego człowieka. Przy każdej zmianie miejsca spodziewała się go znaleść, a nie widząc go, chciała wychodzić, starała się otworzyć drzwi i zaczynała płakać...

Lewis Jackson dał znak Kamilli, by wyszła z nim. Ludwikę zostawili razem z infirmerkami.

— Pani chora została już ulokowana — rzekł miliarder do młodej panny. — Teraz na panią kolej.

I zaprowadził ją do małego apartamentu, składającego się z sypialni, łazienki i buduaru.

— Jest pani teraz u siebie — rzekł.

W pokoju znajdowało się małe biureczko w stylu Ludwika XV Businessman podszedł do niego i otworzył je. W środku obok pudełek z papierem listowym znajdowała się duża kryształowa czarka, pełna monet dwudziestofrankowych.

— Włożyłem tu kilkaset luidorów — mówił dalej obojętnie Lewis Jackson — które będą stanowiły pani podręczną kasę... Proszę wydawać je bez rachunku... Ten zapas będzie zawsze po wyczerpaniu odnawiany.

— Ach! panie! — rzekła Kamilla — ja ich nie ruszę.

— Dlaczego?... Przez skrupulatność?... Będzie to skrupulatność zupełnie nie na miejscu... Czy pani sądzi, że pięćdziesiąt tysięcy franków dla mnie co znaczy... Mogę wyrzucać miliony, a mimo to interesa moje nie poniosą przez to najmniejszego uszczerbku.

— Tak, ale czy ta suma jest wielka czy mała, ja jej nie mogę przyjąć, gdyż jej nie zarobiłam...

— Przepraszam, drogie dziecko... Właśnie zarobi je pani.. Żądałem, by pani zaopiekowała się Ludwiką... Ale przecież nie mogę wymagać, by czyniła to pani za darmo... co zresztą jest dla pani niemożliwem...

— Niemożliwem?...

— Tak! Co pani ma w swej pormonetce?... Nie wiele... A gdy to niewiele wyczerpie się?...

Kamila nic już nie odpowiedziała.

— Niech pani tem się nie przejmuje — dodał miliarder. — A gdy tych pieniędzy będzie za mało, zwłaszcza gdy zechce pani komu pomódz, proszę mi powiedzieć... A teraz do widzenia!

Lewis Jackson nie miał już tutaj co robić. Nie czekając na ceremonialne grzeczności, pożegnał się nagle z młodą panią i szybko wyszedł. Obiad zjadł w podrzędnej restauracyi w towarzystwie ulicznego sprzedawcy gazet i dorożkarza. Potem udał się do Neuilly, by przebyć tam drugą i ostatnią noc z Maksymem Duretem. Na drugi dzień o dziesiątej rano był już w swym pałacu. Służba miliardera ubrana już była w liberyę, wybraną przez maitre d'hotel, któremu powierzony był zarząd pałacu. Na progu przed podjazdem stał okazały portyer w stosowanym kapeluszu, surducie ozdobionym galonami, niż pirog admiralski. Rozmawiał z nim lokaj w krótkiem ubraniu, białych pończochach i lakierowanych pantoflach.

Na widok swego pana zamilkli, wyprostowali się, portyer zdjął kapelusz, służący opuścił sztywno ręce wdłuż jedwabnych spodni.

Osoby, które w chwili tej przechodziły koło pałacu, zatrzymały się zdziwione, dlaczego służba z tak magnackiego domu przyjmuje taką uniżoną postawę wobec jakiegoś biedaka.

— Nikt nie przychodził? — zapytał Lewis Jackson.

— Owszem — odpowiedział portyer. — Czeka kilku panów. Jest to pan Balazzo...

— Wiem — przerwał miliarder.

I wszedł do westibulu. Lokaj poszedł za nim. Żona portyera wyszła ze swego mieszkania i spoglądała na oddalającego się swego pana. Potem zbliżyła się do męża i szepnęła:

— Tak ubranych to widziałam na ulicy pod kawiarniami tylko zbieraczy niedopałków cygar i papierosów.

Portyer odpowiedział szeptem:

— Rozmawiałem właśnie z Janem o jego majątku, gdy nadszedł... Według tego, co mówi maitre d'hotel, to ma on więcej niż sto milionów dochodu...

Portyerowa załamała tylko z podziwu ręce.

Tymczasem Lewis Jackson wchodził po wspaniałych schodach, ozdobionych od dołu do góry rosnącymi krzewami, tak iż klatka schodowa wydawała się jakby dalszym ciągiem zimowego ogrodu z najrzadszemi roślinami z całego świata. Maitre d'hotel, który oddawna już oczekiwał przybycia swego pana, wyszedł zaraz na jego spotkanie.

— Jest, proszę pana — oznajmił — czterech doktorów... Przyszło także i trzech malarzy... Pierwsi czekają w salonie Ludwika XVI, tamci w salonie wschodnim.

— Dobrze — odrzekł miljarder. — Proszę poprosić malarzy, by się nie niecierpliwili... Zaraz przyjdę do nich.

— Panowie Piotr Cartelegue i Maurycy Terrade są w wielkiej hali... Są także państwo John Narris...

— Cóż to za jedni?...

— Spacerują w ogrodzie zimowym.

Lewis Jackson wszedł tymczasem na pierwsze piętro.

— Gdzie jest salon Ludwika XVI — zapytał.

Nie znał jeszcze dobrze rozkładu swego pałacu.

Służący poprowadził go i otworzył przed nim drzwi do salonu, w którym siedziało czterech męż-

czyzn, wszyscy ubrani czarno, siwiejący i z odznakami honorowem w klapach surdutów.

— Dziękuję bardzo, że panowie byli łaskawi przybyć — rzekł miliarder, podchodząc do nich z wyciągniętemi rękami.

Mina wchodzącego i postawa służącego, który go wprowadził, wskazywały jasno, że jest to pan domu. Lekarze zdawali się być zdumieni jego zniszczonem ubraniem i grubymi staremi trzewikami. Nie mogli oderwać od niego oczu. Doktór Balazzo pierwszy odezwał się:

— Zrobimy wszystko, co jest w mocy ludzkiej, byle tylko uzdrowić pańską chorą.

Sławny profesor psychiatryi przybył tego rana z Mediolanu. Lewis Jackson znał go ze słyszenia i bardzo pragnął, by wziął udział w konsultacyi. Drugim lekarzem był profesor jednego z uniwersytetów niemieckich, w którym zajmował katedrę chorób umysłowych. Następnie był lekarz, który leczył Ludwikę u świętej Anny i sławny alienista paryski. Wszyscy byli więcej niż po królewsku zapłaceni przez Lewisa Jacksona. Businessman, który do życia codziennego wnosił swe przyzwyczajenie przemysłowca amerykańskiego, przyrzekł ponadto każdemu z nich wielką nagrodę, jeżeli chora wyzdrowieje, a wielkość nagrody czynił zależną od szybkości, z jaką to wyzdrowienie nastąpi.

— Panowie zechcą poczekać chwilkę — rzekł następnie miliarder.

Opuścił salon Ludwika XVI i skierował się do wielkiej hali. Maitre d'hotel, który czekał na swego pana, poszedł za nim. Nagle mu szepnął, gdy przeszli kilka kroków.

— Oto państwo Narris...

Lewis Jackson obejrzał się i ujrzał. jak na monumentalne schody wchodzi Panajon i Ewa.

— Ach! — rzekł. — To to jest John Narris?... I zwracając się do maitre d'hotel, dodał:

— Niech mnie pan zostawi samego...

Rządca pałacu oddalił się i znikł.

Panajon minął już schody i nie śpiesząc się, podszedł ze swą zwykłą swobodą. Skłonił się uprzejmie, ale bez uniżoności, potem rzekł:

— Przybyliśmy z dwóch powodów... Wiemy, że ma nastąpić konsultacya lekarzy i chcemy bardzo, ja i Ewa, dowiedzieć się o jej wyniku... Ponadto wiem także, iż za dwie i pół godziny upływa termin, wyznaczony naszemu kochanemu prezesowi, chcę więc ponownie ofiarować twe usługi, gdy będzie potrzeba zlynczować go bez rozgłosu... Mam nadzieję, że pan chwilowo przyjmie mnie do grona bliskich sobie ludzi i pozwoli mi na wymierzenie mu choć jednego ciosu... Zasłużyłem sobie na to w zupełności...

W wzroku businessmana malowało się zapytanie. Złodziej odpowiedział zaraz:

— Tak! Zasłużyłem sobie na to w zupełności! Niech pan pomyśli tylko, coby było, gdyby ten zacny filantrop zamiast na mnie, trafił na jakiego innego człowieka, pozbawionego wszelkich uczuć moralnych... Gdzieby była teraz panna Ludwika?... Ukryta w lasku w Meudon... I pan nicby o tem nie wiedział... I przyjaciel Duret dyktowałby teraz swe warunki... Wolność swoją kupiłby za wolność tej nieszczęśliwej...

— Tak, to prawda — przyznał Lewis Jackson.

— Lecz to jeszcze mało — mówił dalej Panajon. — Panna Dubois nie byłaby porwaną... ponieważ ja poddałem ten projekt temu sympatycznemu staruszkowi... i wprost tego żądałem... Gdyby nie pański sługa, dziś już nie znaleźlibyśmy między żywymi tej młodej panny... Jestem o tem najzupełniej przekonany...

— Och! nie mów tego! — szepnęła Ewa, cała blada.

— *Hallo!* — odrzekł Lewis Jackson. — Proszę za mną!

I wszedł do wielkiej hali, gdzie Piotr i Maurycy czekali na niego. Gdy tylko ujrzeli go, pośpieszyli ku niemu.

— Moi drodzy przyjaciele — rzekł miliarder, ściskając ich za ręce — zdaje mi się, że nie potrzebuję wam przedstawiać pana i pani...

I zrobił uprzejmy ruch ręką, wskazując na Panajona i Ewę. Potem mówił dalej:

— Muszę wam tylko zwrócić uwagę, jeżeli wam samym nie przyszło to na myśl, że państwo ci zaopiekowali się Ludwiką... Może Panajon wziął się do tego za późno... Lepiej jednak późno, niż nigdy, a faktem tyko jest, iż gdyby nie oni, to biedne dziecko jużby nie żyło... Przyjmuję więc Ernesta Panajona do grona swych przyjaciół...

— Ach! panie!... — zawołał w uniesieniu byłby Karol Turner. — Ewo! podziękuj!

— Jaki pan dobry! — dziękowała Ewa tonem pełnym przekonania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Zadanie konikowe.

Ułożył J. Skowroński, Sambor.

Podane litery połączyć w ten sposób według chodu konika, aby powstało znane polskie przysłowie.

	y						
		n	r				
		d		k	e		
	i		l	y			
	z	z			a	p	
		c	j	s			

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Ach, ty przepiękna, we śnie wymarzona,
Tak mi za tobą i *pierwsze i wtóre,*
Pójdź do mnie dziewczę, pójdź w moje ramiona
I wypędź z serca złowróżącą chmurę!

Na *trzecie pierwsze* nie zważaj jedyna,
Ani na mamę, ani na nikogo,
Pójdź, niech nam mile upłynie godzina,
Pójdź, a zobaczysz, jak będzie nam błogo!...

Ja sam w ogrodzie... A księżyc tak świeci
I słowik *całość* piosenką podwaja...
O pójdź! niech *wszystko* z mej duszy uleci,
Niech rzeczywistość nas tylko upaja!

Łamigłówka.

Ułożył S. Kowalówka, Kraków.

Podane wyrazy uzupełnić w ten sposób, aby litery, wstawione w miejsce kresek utworzyły życzenia, które Redakcya przesyła wszystkim swym Czytelnikom.

— ów
— ra
— an
— ka
— ut
— wa
— oa
— do
— le
— ew
— in
— sy
— as
— do
— az
— ra

Krzyż magiczny.

Ułożył A. Szuber, Zbaraż.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby powstały trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a
a a a
a a a a g g i
i i k k k k k
k l l n n o o
o r t
t z z

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto starożytne w północnej Afryce. 2. Chrześcijanin. 3. Rozkład chemiczny.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:

Jurek, Maciek, Marja, Ewa, jak, kit, teatr, s, y.

Kwadrat magiczny.

Ułożył S. Kowalówka, Kraków.

Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko znanego polskiego literata i malarza.

□ — — — — — — — — —
— □ — — — — — — — —
— — □ — — — — — — —
— — — □ — — — — — —
— — — — □ — — — — —
— — — — — □ — — — —
— — — — — — □ — — —
— — — — — — — □ — —
— — — — — — — — □ —
— — — — — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór L. Tołstoja. 2. Miejscowość w Galicyi wschodniej. 3. Żołnierze Kościuszki. 4. Zwierzę afrykańskie. 5. Bohater polski. 6. Wyspa na Oceanie Indyjskim. 7. Rodzina magnacka w Polsce. 8. Miejscowość na granicy Austryi i Rosyi. 9. Rodzaj strzelby. 10. Część ubioru.

Zadanie zgłoskowe.

Ułożył A. Rotyński, Wola Michowa.

Z podanych zgłosek ułożyć czterowiersz, zawierający naukę moralną:

a, a, bę, co, cy, da, dą, dzi, dzy, dzy, ja, ja, ją, ją, ką, nę, no, nie, nię, pi, pie, ra, rą, ski, ste, sze, ta, tłu, w, wi, zaw, zbio.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *Adama Szymańskiego: Aksinja.*

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.